

Chamy i Żydy (1962)

Witold Jedlicki

I

Istnieje pewien, ukształtowany może przede wszystkim przez prasę zachodnią, stereotypowy obraz wydarzeń politycznych w Polsce w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Stereotyp ten jest niesłychanie rozpowszechniony zarówno w kraju jak i zagranicą. Przypuszczam, że ogromna większość osób interesujących się sprawami polskimi przedstawia sobie sytuację polityczną Polski mniej więcej w taki sposób, jak to niżej próbuję scharakteryzować albo przynajmniej w sposób mocno do tego zbliżony.

Zasadniczym elementem tego stereotypu jest przekonanie, że polscy komuniści, jeżeli nie wszyscy, to w każdym razie poważna ich część, różnią się jaskrawo od swoich towarzyszy z "bratnich partii" tym, że przejawiają wyraźne tendencje liberalne lub w każdym razie liberalizujące. Przyczyn tego stanu rzeczy upatruje się zwykle w starych rozdźwiękach pomiędzy Stalinem a kierownictwem K.P.P. względnie jej późniejszymi kontynuacjami; nierzadko przy tym podaje się jakieś fakty mające świadczyć o istnieniu wśród czołowych komunistów polskich jakichś form oporu, opozycji czy nawet konspiracji przeciwko Stalinowi.

Tym elementom liberalnym w łonie P.Z.P.R. przypisuje się następnie podjęcie starań o stopniową liberalizację stosunków w Polsce po śmierci Stalina. Proces ten byłby może realizowany powoli i z wahaniem, gdyby nie to, że XX Zjazd K.P.Z.R., a w szczególności słynne tajne przemówienie Chruszczowa z dn. 25 lutego 1956 rozpętało falę masowego niezadowolenia i obudziło potężny ruch oddolny, dążący do szybkiej realizacji daleko idących reform w duchu jak najbardziej demokratycznym. Ruch ten zaczyna wywierać silną presję na kierownictwo partyjne.

Podstawowym narzędziem tej presji staje się prasa, opanowana w tym czasie całkowicie przez pozapartyjne (lub partyjne, ale wypowiadające posłuszeństwo dyrektywom kierownictwa partyjnego) elementy konsekwentnie i szczerze demokratyczne. Istniało jednak także szereg innych form tej presji, takich jak publiczne wypowiedzi intelektualistów, tworzenie najrozmaitszych zrzeszeń, demonstracje (z najsławniejszą zbrojną demonstracją Poznańską z dn. 28 czerwca 1956 r. na czele) itd.

W obliczu tych wydarzeń część kierownictwa partyjnego zaczyna zdawać sobie sprawę z konieczności radykalnych przemian i przyłącza się do ruchu masowego do tych przemian nawołującego. Powstaje w ten sposób sojusz bardziej liberalnych, bardziej radykalnych, bardziej liczących się z rzeczywistością komunistów z masowym ruchem oddolnym, domagającym się radykalnych reform. Na przywódcę całego obozu zostaje wysunięty Władysław Gomułka. Ostatecznie obóz ten odnosi kolosalny sukces w październiku 1956 r., łamiąc opór sprzeciwiających się reformom stalinowców i eliminując ich od władzy. To, co się wówczas stało, było rodzajem zamachu stanu, który

spotkał się z ostrym, popartym demonstracją zbrojną sprzeciwem Chruszczowa i ówczesnego kierownictwa K.P.Z.R. Gomułce udało się jednak wtedy przekonać Chruszczowa, żeby interwencji zbrojnej zaniechał; sukces ten przypisuje się zwykle poparciu, udzielonemu wtedy Polsce przez Chiny. Interwencja taka miałaby jednak miejsce, gdyby nie zmysł polityczny narodu polskiego, który w przeciwieństwie do narodu węgierskiego, potrafił wówczas nie dopuścić do tego, żeby żądania przybrały treść krańcową i żeby akcje masowe miały formy prowokacyjne. Od rozlewu krwi uratowało wówczas Polskę to, że cały naród rozumiał, że należy zakreślić żądaniom i postulatom pewne rozsądne granice.

W czasie przewrotu i po przewrocie strona zwycięska przeprowadza szereg reform, z których najistotniejszymi były likwidacja zniechęconego U.B., usunięcie "doradców radzieckich" z wojska i z policji, wypuszczenie z więzienia Prymasa Wyszyńskiego i uregulowanie stosunków z Kościołem oraz dopuszczenie do żywiołowej samolikwidacji chłopskich gospodarstw kolchozowych. Pomimo to, okres popaździernikowy charakteryzuje się pogłębiającym się rozdźwiękiem pomiędzy dwoma komponentami "obozu październikowego" tzn. pomiędzy zwycięską grupą w kierownictwie partyjnym, a słabnącym już w tym czasie ruchem masowym, w dalszym ciągu reprezentowanym przez prasę i intelektualistów. Właśnie przeciwko prasie i intelektualistom kieruje się w tym czasie głównie atak byłych sojuszników. Ukuwa się dla nich uwłaczającą nazwę "rewizjonistów" i poddaje się ich najprzeróżniejszym represjom. Najbardziej dramatycznym momentem tego konfliktu była likwidacja tygodnika "Po Prostu" i parodniowe rozruchy w Warszawie w październiku 1957 r. (Do tych rozruchów nie przywiązuje się jednak zwykle większego znaczenia). Przyczynę tego antydemokratycznego zwrotu w polityce Gomułki i innych leaderów partyjnych upatruje się zwykle we wzmagającej się presji rosyjskiej, której polskie kierownictwo partyjne coraz bardziej ulega. Katastrofalna w tym czasie sytuacja gospodarcza Polski presję tę bardzo Sowietom ułatwia. Równocześnie jednak podkreśla się, że masowy ruch, domagający się reform, w tym czasie gwałtownie słabnie niezależnie od jakichkolwiek represji. Zjawisko to przypisuje się zwykle takim czynnikom, jak wzrastająca po stłumieniu Powstania Węgierskiego świadomość beznadziejności jakichkolwiek prób przeciwstawienia się Rosji i powszechne godzenie się ze smutnymi koniecznościami wynikającymi z położenia geograficznego Polski.

Stale wzmagająca się presja rosyjska prowadzi w ciągu szeregu lat następnych do powolnego i stopniowego cofania wywalczonych w 1956 r. reform. Polityka Gomułki i innych październikowych zwycięzców staje się coraz wyraźniej i coraz jaskrawiej antydemokratyczna. Charakterystycznym, wielokrotnie podkreślanym zjawiskiem tego okresu jest spadek osobistej popularności Gomułki. Niegdyś podziwiany za odwagę, z jaką potrafił przeciwstawić się Kremlowi, staje się coraz częściej obiektem pretensji o zbytnią wobec Kremla uległość. Uległość tę interpretuje się przy tym coraz częściej jako skutek osobistej nieudolności i ignorancji. Ale mimo postępującej totalizacji Polska wciąż jeszcze wyróżnia się spośród innych krajów bloku komunistycznego pewnym, choć coraz bardziej ograniczonym liberalizmem.

Odnotujmy przy okazji pewne uboczne elementy charakteryzowanego tu stereotypu. Jednym z nich jest pogląd na rolę Kościoła. Kościół uważa się zwykle za jedyną w Polsce

realną siłę opozycyjną. Przypisuje mu się przy tym konstruktywną rolę w okresie października. Decyzja Wyszyńskiego poparcia Gomułki w okresie października uważana jest zwykle za akt wielkiej politycznej rozważliwości. Wyszyńskiemu przypisuje się też znaczną rolę w niedopuszczeniu do tego, aby ruch październikowy przekroczył pewne granice i naraził kraj na niebezpieczeństwo konfliktu zbrojnego z Z.S.S.R. Drugi uboczny element tego stereotypu to pogląd na sprawę żydowską. Wzniesienie nastrojów antysemickich w społeczeństwie w okresie października uważa się za największy sukces stalinowców. Uważa się, że nastroje te są w Polsce wciąż żywe mimo, iż cieszący się taką popularnością "obóz październikowy" z antysemityzmem walczył zawzięcie.

Starłem się tutaj, z konieczności ogólnikowo i w sposób bardzo przybliżony, ale możliwie obiektywnie i możliwie in optima forma zrekonstruować stan wiedzy przeciętnego czytelnika prasy zachodniej na temat problematyki politycznej Polski ostatnich lat dziesięciu. Zdaję sobie w pełni sprawę z tego, że były znaczne nieraz różnice zarówno w przedstawianiu pewnych zagadnień jak i w stosunku do nich. Różnice te znalazły swój wyraz między innymi w terminologii. Ówczesny warszawski korespondent "Monde'u", Philippe Ben, stale charakteryzował zwolenników przemian październikowych w kierownictwie partyjnym "les liberaux" a ich przeciwników jako "les durs". W ówczesnej prasie polskiej to samo nazywano "siłami postępowymi i rewolucyjnymi partii" oraz "siłami wstecznymi partii". Grupę, która w październiku przegrała utarło się w końcu nazywać "Natolińcykami". Jest natomiast rzeczą charakterystyczną, że grupa, która wygrała, tak powszechnie stosowanej nazwy nie otrzymała nigdy. Były jednak różnice poważniejsze, niż terminologiczne. Poważne dzienniki amerykańskie jak "New York Times" czy "New York Herald Tribune" wykazywały na ogół więcej rezerwy niż np. brytyjski "New Statesman and Nation", który charakteryzując październikowy sojusz bezpartyjnych mas z partyjnym kierownictwem używał zwrotów w rodzaju "brave people led by brave leaders". Największa rewelacja w zakresie wiedzy o oporze stawianym Stalinowi przez czołowych polskich komunistów, a mianowicie podana przez Izaaka Deutschera wiadomość o tym, jakoby w papierach pozostałych po zmarłym Bolesławie Bierucie znaleziono notatkę, zalecającą jego podwładnym sabotowanie dyrektyw radzieckich, nie znalazła, o ile mi wiadomo, wielu chętnych do przedrukowywania jej. Były w ogóle znaczne różnice w stopniu okazywania sympatii dla liberalnego odłamu komunistów polskich. Regułą było, że dziennikarze i publicyści o tendencjach lewicowych i socjalistycznych okazywali im ogromną sympatię, podczas gdy dziennikarze i publicyści o tendencjach prawicowych i konserwatywnych zachowywali rezerwę. Na skrajnej lewicy niekiedy wskazywano nawet na Polskę, jako na wzór do naśladowania dla socjalistów całego świata albo łudzono się, że to, co się dzieje w Polsce odrodzi międzynarodowy ruch robotniczy. Ale mimo tych wszystkich różnic w najistotniejszych punktach panowała powszechna zgoda. W szczególności godzono się na to, że wśród poważnej części komunistów polskich łącznie z wieloma przywódcami partii, panowały silne sympatie liberalne, że koła te poparły oddolny ruch masowy domagający się demokratyzacji ustroju i uniezależnienia się od Z.S.S.R., że wydarzenia października 1956 r. były ogromnym sukcesem sił demokratycznych w Polsce i zarazem porażką Rosji i że tylko niekorzystna koniunktura, w jakiej Polska znalazła się w ciągu lat następnych, a w szczególności potęgujący się nacisk sowiecki sprawiły, że zdobycze demokracji w Polsce nie okazały się trwałe.

II

Będę się starał obecnie wykazać, że naszkicowany tu obraz przebiegu wydarzeń pełen jest zupełnie zasadniczych nieporozumień. Przede wszystkim rzucają się w oczy elementy niejasne, wymagające stawiania pytań, których zwykle nie stawiano, albo na które nie dawano jasnych odpowiedzi.

1. Rzeczą powszechnie uznaną jest rola prasy i intelektualistów w rozbudzeniu opinii publicznej i w wywarceniu presji na kierownictwo partyjne. Powstaje jednak pytanie, w jaki sposób prasa, w której nic nie może być wydrukowane bez aprobaty cenzury, może wywierać presję na cenzorów lub ich szefów? A więc jedno z dwojga: albo prasa spełniała wówczas dyrektywy kierownictwa partyjnego, albo kierownictwo partyjne dobrowolnie z jakichś powodów godziło się na to, żeby prasa pisała to, co uważa za stosowne. W obu wypadkach nie ma mowy o żadnej presji.

2. Powszechnie uważa się, że nagły i gwałtowny zryw opinii publicznej na wiosnę 1956 r. był następstwem tajnego referatu Chruszczowa. Ale od razu powstaje pytanie, dlaczego ten referat rozpowszechniano? Przecież w innych krajach bloku go nie rozpowszechniano. Co więcej, dlaczego rozpowszechniano ten referat tak gorliwie, na otwartych zebraniach partyjnych, tak, żeby każdy, partyjny i bezpartyjny, mógł się z nim zapoznać? W tych warunkach poruszenie opinii publicznej musiało być rzeczą łatwą do przewidzenia. Stąd wniosek, że opinię publiczną rozbudzano celowo.

3. Co właściwie powiedział Gomułka Chruszczowowi 20 października 1956 r.? Co naprawdę skłoniło Chruszczowa do zaniechania interwencji? Krążyło na ten temat mnóstwo pogłosek, ale jedna z tych pogłosek powtarzała się szczególnie uporczywie, mianowicie pogłoska o poparciu udzielonym wtedy Gomułce przez Chiny. Pewną wątpliwość budzi jednak okoliczność, że wszystko to razem odbywało się w ciągu paru zaledwie godzin, w ciągu których rząd chiński nie bardzo miał czas na zebranie informacji, podjęcie decyzji i przystąpienie do działania. Na wątpliwość tę zwykle się odpowiada w ten sposób, że druga tura członków Politbiura Sowieckiego przyleciała do Warszawy w godzinach późniejszych tego samego dnia, przywożąc Chruszczowowi wiadomość o chińskiej interwencji dyplomatycznej. Może to i prawda, ale to nie zmienia faktu, że przebieg rozmowy Chruszczowa z Gomułką jest nikomu nieznanym

4. Dlaczego ci sami ludzie, którzy potrafili ryzykować konflikt zbrojny z Z.S.S.R., byli później tak ulegli wobec presji sowieckiej w tysiącach spraw drobnych, takich np. czy zezwolić na ukazywanie się jakiegoś pisemka literackiego, albo czy zezwolić na wydrukowanie czegoś itp.? Dlaczego Gomułka, na którego poparta demonstracją militarną presja rosyjska nie podziałała w sprawie Rokossowskiego, uląkł się jej w sprawie Piaseckiego, który, jak to powszechnie sądzono, zawdzięczał swoją dalszą egzystencję i dobrobyt poparciu udzielonemu mu przez Moskwę? Dlaczego Gomułka oparł się tej presji w sprawie indywidualnej gospodarki chłopskiej? Ostatnie pytanie jest może szczególnie niepokojące. Niekiedy mówi się, że polityka rolna Gomułki jest dezaprobowana przez Chruszczowa, niekiedy że aprobowana. Nie wiem, jak jest naprawdę, ale jeżeli jest dezaprobowana, to Gomułka poglądem Chruszczowa na tę sprawę wyraźnie się nie przejmuje, a jeżeli jest aprobowana, to w podobny sposób

poglądem Chruszczowa nie przejmują się Ulbricht, Novotny, Kadar itd. Jakkolwiek by więc było, należałoby wyciągnąć wniosek, że satelitów stać na samodzielną decyzję w zasadniczej sprawie ustrojowej. A w ogóle wszystkie te pytania prowadzą chyba do wniosku, że albo presja rosyjskiej nie było w ogóle, albo była ona nie tak mocna, żeby można było ją uważać za zasadniczy czynnik kształtujący stosunki polityczne kraju, albo przynajmniej, że Gomułka i polscy liderzy partyjni, kiedy chcieli, opierali się jej skutecznie. Wszystkie te ewentualności prowadzą z kolei do wniosku, że totalizacja ustroju, jaka nastąpiła w latach popaździernikowych, miała inne przyczyny i nie była spowodowana presją rosyjską.

(Nawiasem mówiąc w sprawie presji rosyjskiej pewni publicyści doszli już do podobnych wniosków. Np. pytanie o Rokossowskiego i Piaseckiego postawił Adam Bromke na łamach "The Survey". Generalnie natomiast kwestię tę podjął w artykułach ogłaszanych ostatnio na łamach "Monde'u" i prasy izraelskiej Philippe Ben, wyrażając w tej sprawie trafny, moim zdaniem, pogląd, że presja istnieje, ale ogranicza się do pewnych szczególnie ważnych dziedzin, natomiast w sprawach innych pozostawia się władzom satelickim znaczny nawet margines swobody).

Sprawę poruszoną w punkcie (3) odłożymy na później. Natomiast wnioski pozostałych trzech punktów można, jak mi się zdaje, uogólnić w postaci tezy, że jedni i ci sami ludzie byli w pewnym okresie, bez względu na to, co myślało o tym społeczeństwo, zainteresowani w demokratyzacji stosunków politycznych w Polsce, a w innym okresie, bez względu na to, co myślał o tym Chruszczow, zainteresowani w totalizacji tych stosunków.

III

Dlaczego? Skąd się bierze ten fenomen świadomego i planowego rozbudzania opinii publicznej w gruncie rzeczy przeciwko sobie? Po co Chruszczow wygłaszał ten swój tajny referat? W jakim celu Cyrankiewicz, Ochab i Zambrowski w ciągu r. 1956 tak się wysilali, żeby zmobilizować opinię publiczną do krytyki partii i komunizmu?

Przede wszystkim możemy odrzucić od razu ewentualność, że ci ludzie robili to ze względu na ukryte, ale szczerze sympatie liberalne, które nakazywały im realizować pewien wzorzec ustrojowy uważany za słuszny nawet wbrew własnym interesom. Ani Chruszczow ani polscy liderzy partyjni żadnych poważnych sympatii liberalnych nie mieli i nie mają. Nietrudno ostatecznie wskazać sytuacje, w których mieli oni okazję okazywania takich sympatii, a ich nie okazywali. Na ewentualny kontrargument, że może tu zachodzić normalne zjawisko zmiany przekonań, jest odpowiedź, że jeżeli za każdym razem zmiana przekonań służy interesom, to rzuca to cień na istnienie jakichkolwiek przekonań w ogóle.

Możemy także, moim zdaniem, odrzucić ewentualność, że działały tu względy natury osobistej. Mam przez to na myśli taką ewentualność, że to ślepa nienawiść do pełnej upokorzeń i straszliwych lęków przeszłości, ślepa nienawiść do tego, na którego zawołanie musieli tańczyć kozaka sprawiła, że nie oglądając się na konsekwencje wygarniali z siebie to co czuli. W moim przekonaniu ten motyw miał wpływ na wording

referatu Chruszczowa, ale samo jego wygłoszenie musiało mieć inne powody. Przywódcy partii totalitarnych są z reguły ludźmi zimnymi, o konstytucjach raczej schizoidalnych lub paranoidalnych, potrafiącymi dobrze ukrywać swoje myśli i uczucia, kiedy ich ujawnienie zagrażałoby interesom.

W swoim czasie przeczytałem całą masę komentarzy prasowych, artykułów i rozpraw na temat tajnego referatu Chruszczowa. Szukałem w nich przede wszystkim odpowiedzi na pytanie: po co on to zrobił? Mam poczucie, że w całej tej ogromnej literaturze raz tylko natrafiłem na supozycję naprawdę ciekawą. Poza tym jednym wypadkiem kwestię motywów Chruszczowa bądź zbywano milczeniem, bądź wypowiedano się na ten temat niejasno, bądź najbardziej niefortunnie w świecie, formułowano wyjaśnienia, które ogólnie nazwałbym "marksistowskimi".

Zanim zreferuję tę jedyną hipotezę, która moim zdaniem jest do przyjęcia, pozwolę sobie na pewną dygresję. Pragnę mianowicie krótko odpowiedzieć na pytanie dlaczego moim zdaniem poszukiwanie wyjaśnień o charakterze marksistowskim w tym wypadku nie prowadziło do niczego.

Przede wszystkim, celem uniknięcia nieporozumień, chciałbym określić, jaki typ wyjaśnień nazywam tu marksistowskimi. Otóż mam na myśli często wówczas spotykane argumentacje, że Chruszczow, zdając sobie sprawę z tego, że struktura społeczna Z.S.S.R. w kolosalnym stopniu obniża zdolności produkcyjne tego kraju i prowadzi do gospodarczej anarchii, pragnął zadać swoim referatem śmiertelny cios zawzięcie broniącemu swoich przywilejów aparatowi partyjnemu i w ten sposób umożliwić "technokratyzację" ustroju i całego systemu rządzenia w nadziei, że te zmiany pozwolą mu na podjęcie na wielką skalę współzawodnictwa ze Stanami Zjednoczonymi. Ten typ wyjaśnień jest, moim zdaniem, nie do przyjęcia z kilku względów. Chruszczow ma niewątpliwie ogromne zasługi w modernizacji zacofanego sowieckiego ustroju gospodarczego. Ale trudno dociec, jaki to może mieć związek z jego tajnym referatem. Jakkolwiek rozpaczliwy mógł być stan gospodarki sowieckiej w lutym 1956 r., trudno przypuścić, żeby wygłoszenie tego referatu mogło cokolwiek w tym zmienić. Mogło co najwyżej sytuację pogorszyć, na przykład przez spowodowanie fali strajków. Co więcej, samo wygłoszenie tego referatu mogło tylko wzmocnić opór aparatu partyjnego przeciwko Chruszczowowi i nie prowadziło do jego rozbrojenia. Trudno sobie wyobrazić, jak ten referat mógłby być środkiem naprawy czegokolwiek. Co więcej trudno zrozumieć, dlaczego by ten krok, tak ryzykowny i niebezpieczny, miał być naprawdę niezbędny do dokonania radykalnych przemian strukturalnych, do których Chruszczow skądinąd zmierzał i które częściowo udało mu się później zrealizować. Gospodarka sowiecka przez długie lata stała na głowie i mogłaby sobie jeszcze trochę postać. W każdym razie trudno zrozumieć, jak jej naprawie mogło służyć opluwanie siebie, swojej przeszłości, swoich przyjaciół, swojej partii i swojego państwa.

(Mutatis mutandis ta sama argumentacja stosuje się do formułowanej czasem wówczas hipotezy, że Chruszczow chciał przez swój referat ułatwić sobie rokowania z Zachodem. Nawet jeżeli antystalinizm Chruszczowa zjednywał mu na Zachodzie jakieś sympatie, to i tak trudno przypuścić, żeby Chruszczow liczył na to, że politycy zachodni zmiękną tylko dlatego, że on taki ładny referat wygłosił. Kroki zmierzające do porozumienia z

Zachodem mógł sobie Chruszczow podejmować do woli i bez tego referatu; dalsze wydarzenia budzą jednak zasadnicze wątpliwości, czy Chruszczowowi w ogóle w tym okresie na jakimś porozumieniu z Zachodem zależało. Ale gdyby nawet zależało, to trudno zrozumieć, co mu w tym mógł pomóc referat).

Cała ta sprawa budzi pewną refleksję natury ogólniejszej, bardziej abstrakcyjnej. Znane są spory o ogólne zasady wyjaśniania wydarzeń historycznych. Różni autorzy, podkreślali rolę sprawczą, jaką odgrywają w procesach historycznych najróżniejsze czynniki: gospodarcze, społeczne, kulturalne, demograficzne, klimatyczne, osobowościowe i nawet higieniczno-sanitarne. Najgłośniejszym z tych sporów był zawsze spór marksistów z ich niektórymi przeciwnikami o "rolę jednostki w historii". Spór ten, i rozmaite inne spory o podobnym charakterze traktowano zwykle tak, jakby był to jakiś problem "filozoficzny", możliwy do ogólnego rozstrzygnięcia. Tymczasem jest to problem jawnie empiryczny i nie dający się rozstrzygnąć ogólnie; albowiem w każdym konkretnym przypadku rola jednostkowej decyzji i rola czynników, powiedzmy, gospodarczych może być różna w zależności od ustroju i struktury społecznej kraju, w którym mają miejsce wydarzenia będące przedmiotem wyjaśniania. Z tego, że marksistowski model wyjaśniania zdarzeń pasuje do dziewiętnastowiecznej Anglii, nie wynika jeszcze, że pasuje on do Wojen Krzyżowych albo Reformacji. Ale nawet jeżeli do Wojen Krzyżowych i do Reformacji pasuje świetnie, to jawnie nie pasuje do nowoczesnych systemów totalitarnych, które właśnie polegają na tym, że jednostka obdarzona władzą dyktatorską ma ogromny margines swobody w podejmowaniu decyzji. W ustroju totalitarnym zdeterminowanie "świadomości" tej jednostki przez "byt" wydaje się wysoce problematyczne. Ma ona znaczną swobodę wyboru, czy się liczyć z "warunkami ekonomicznymi", "intereselem klasy, którą reprezentuje" itp., czy się nie liczyć; i doświadczenie pokazuje, że nierzadko decyduje zupełnie swobodnie, ze względami tymi nie licząc się. Moim zdaniem mało zrozumienia dla struktury ustroju totalitarnego wykazuje ten kto np. wyjaśnia walki w łonie Politbiura sowieckiego przez różnice poglądów na temat rolnictwa, te zaś różnice z kolei przez różnice interesów grup społecznych których poszczególni członkowie Politbiura są wyrazicielami. O wiele więcej sensu ma wysunięcie na plan pierwszy motywu zdobycia, powiększenia i utrzymania władzy i traktowanie różnic w poglądach na rolnictwo jako środków walki o tę władzę. W tych sporach o rolnictwo w istocie chodzi o władzę, a nie o rolnictwo. Ten model wyjaśniania nie jest oczywiście niczym nowym: tego rodzaju poglądy lansowali jeszcze w XIX w. klasycy liberalizmu brytyjskiego, a w w. XX propagował je m.in. Bertrand Russell. Model ten wydaje się cenny pod warunkiem, że się pamięta, że on też ma ograniczone pole zastosowania. Mimo to szkoda, że w naszych czasach model ten uległ pewnej depopularyzacji, ustępując miejsca potwornie nadużywanemu modelowi marksistowskiemu. Czytelnik z łatwością zauważy, że w próbach wyjaśniania wydarzeń, którymi się tu zajmuję, będę się posługiwał głównie właśnie tym modelem.

IV

Po tej dość długiej dygresji możemy wrócić do sprawy zasadniczej. Wspomniałem, że w literaturze na temat XX Zjazdu K.P.Z.R. znalazłem jedną myśl szczególnie interesującą. Mam na myśli przypuszczenie sformułowane na łamach "Kultury" przez Aleksandra Weissberga-Cybulskiego, że celem Chruszczowa było to, żeby stalinowskie metody

rozprawiania się z przeciwnikami skompromitować tak doszczętnie, aby w przyszłych walkach o władzę nikomu już więcej nie opłacało się do tych metod uciekać.

Hipotezę tę uważam za interesującą przede wszystkim dlatego, że jednym z najsilniejszych możliwych motywów ludzkich jest strach przed torturami. Członkowie Politbiura sowieckiego znajdowali się w sytuacji, w której ewentualność ta mogła być jak najbardziej realna: przeszłość uczyła, że do tego wystarczył jakiś fałszywy krok, jakieś powinięcie się nogi, jakieś przypadkowe wzbudzenie nieufności silniejszego przeciwnika. Dalszy przebieg wydarzeń pokazał, że walka o dziedzictwo po Stalinie w momencie XX Zjazdu dopiero zaczynała się na dobre. Leaderzy partii sowieckiej musieli być tego świadomi i w tej sytuacji ich strach przed brainwashing'iem *[pranie mózgu, psychologiczna metoda reedukacji oparta na warunkowaniu i technikach manipulowania podświadomością człowieka.] musiał urastać do rozmiarów panicznych. Wydaje mi się prawdopodobniejsze, że na referat Chruszczowa wyraziły zgodę wszystkie później obalone wielkości, które wtedy jeszcze w Politbiurze rezydowały, niż że był on osobistą inicjatywą Chruszczowa, która zaskoczyła pozostałych; referat taki leżał w końcu we wspólnym interesie wszystkich. Jakkolwiek było, referat ten nie załatwiał żadnego problemu personalnego. Ci panowie bynajmniej nie rezygnowali z walki ze sobą, a tylko i wyłącznie zobowiązywali się, że nie będą się ze sobą rozprawiać metodami Stalina. Referat stwarzał swoistą gwarancję, że zobowiązanie zostanie dotrzymane. To był cel, dla którego zdecydowano się na krok politycznie samobójczy. Z motywów czysto osobistych ludzie ci nie wahali się wystawić państwo, którym władali, na pośmiewisko jego wrogów, doprowadzić do masowego opuszczania szeregów partii komunistycznych przez najwartościowszych ich członków, ryzykować anarchię wewnątrz kraju i porażki dyplomatyczne w polityce zagranicznej. Fakt, że okres najostrzejszych walk o władzę w Sowietach nastąpił po tym wydarzeniu oraz że w walkach tych, mimo ich brutalności, do brainwashing'u ostatecznie nie doszło, stanowi pewne pośrednie potwierdzenie hipotezy Weissberga ex post.

V

Hipoteza Weissberga dowodzi, że może zaistnieć taka sytuacja, kiedy w interesie rządzących leży faktyczne rewoltowanie rządzonych przeciwko sobie. Poprzednie moje uwagi zmierzały do tego, żeby wykazać, że taka sytuacja zaistniała w r. 1956 także w Polsce. Dlaczego?

Kluczem do rozwiązania zagadki są wydarzenia VI Plenum K.C. P.Z.P.R., które się odbywało w Warszawie w połowie marca 1956. Z różnych niedyskrecji wiadomo już dzisiaj dość dobrze, co wtedy zaszło. W Warszawie pojawił się Chruszczow, oficjalnie po to aby peregrynować pieszo z Nowego Świata na Powązki za trumną Bieruta, faktycznie po to, aby nie dopuścić do wyboru na jego następcę nikogo z ludzi Stalina. Tę samą politykę Chruszczow realizował także na Węgrzech i w Bułgarii, usuwając Rakosiego i Czerwenkowa; że było to działanie racjonalne, tego dowodzi przykład Albanii, gdzie ręce Chruszczowa okazały się za krótkie i gdzie obecność ludzi Stalina u władzy stała się w końcu dla niego źródłem tylu nieprzyjemności. Wiadomo dość dobrze, że gdyby nie presja Chruszczowa, na sekretarza generalnego K.C. P.Z.P.R. byłby wówczas wybrany Roman Zambrowski. Kandydatem proponowanym wtedy przez Chruszczowa był jakoby

Zenon Nowak; ostateczny wybór Edwarda Ochaba był jakoby rezultatem kompromisu. W każdym razie kandydaturze Ochaba Chruszczow się już nie sprzeciwił.

Interwencja Chruszczowa stawia grupę kierowniczych komunistów, którzy faktycznie rządili Polską za czasów Stalina w położeniu rozpacziwym. Stanowi dla nich jawną wskazówkę, że przestali się cieszyć zaufaniem mocodawców i tym samym, że ich dni są policzone; że muszą odejść i ustąpić miejsca ludziom nowym, którzy cieszą się zaufaniem nowych ludzi na Kremlu. Rozpacziwość ich sytuacji pogłębia fakt, że przeciwko nim jest armia, na czele której stoi rosyjski generał, który do ich siuchty nie należy. Jediną realną siłą, jaką jeszcze dysponują, jest policja. W tym układzie sił los tych ludzi wydaje się przypieczętowany.

Kto należał do tej grupy i kim byli ludzie, na których obecnie stawiał Chruszczow? Ludzie, którzy faktycznie rządili Polską w czasach Stalina, to przede wszystkim Bolesław Bierut, Roman Zambrowski, Jakub Berman, Hilary Minc i Franciszek Mazur. Ta piątka miała oczywiście całą armię dependentów, którzy zapewniali jej większość, gdzie tylko było potrzeba. Po śmierci Bieruta na czoło grupy wysuwa się wyraźnie Zambrowski. Natomiast Mazur, który zaczyna zerkać na stronę przeciwną, próbując, zresztą bezskutecznie coś z łaski Kremla dla siebie wyżebrać, zostaje przez grupę wyraźnie odsunięty. W sztabie grupy znajdują się w tym czasie m.in.: Jerzy Albrecht, Antoni Alster, Tadeusz Daniszewski, Ostap Dłuski, Maria Federowa, Romana Granas, Piotr Jaroszewicz, Helena Jaworska, Leon Kasman, Julian Kole, Wincenty Kraśko, Władysław Matwin, Jerzy Morawski, Marian Naszkowski, Mateusz Oks, Józef Olszewski, Jerzy Putrament, Mieczysław Rakowski, Adam Schaff, Artur Starewicz, Jerzy Sztacheński, Roman Werfel i Janusz Zarzycki. Niewątpliwie zbliżona do tej grupy jest większość byłych PPS-owców w K.C., konkretnie Józef Cyrankiewicz, nieżyjący już dziś Tadeusz Dietrich, Henryk Jabłoński, Oskar Lange, Lucjan Motyka, Adam Rapacki, Marian Rybicki i może przede wszystkim Andrzej Werblan. W swoim czasie poważną rolę odgrywali, dziś już całkowicie odsunięci sekretarze komitetów wojewódzkich największych miast: Stefan Staszewski i Stanisław Kuziński z Warszawy, Michalina Tatarkówna-Majkowska z Łodzi oraz Jan Kowarz z Wrocławia.

Grupa przeciwna składa się przeważnie z młodszych stażem członków K.C., zbuntowanych przeciwko piątce i gorliwych w zaprowadzaniu w Polsce nowego kursu, wymarzonego przez Moskwę. Na czoło grupy wybija się Zenon Nowak. Na nieco niższym szczeblu jest kilku energicznych, ale wyjątkowo brutalnych i wyjątkowo nie doświadczonych działaczy jak Stanisław Brodziński, Wiktor Kłosiewicz, Władysław Kruczek, Stanisław Łopot, Kazimierz Mijal, Bolesław Rumiński, Jan Trusz i Kazimierz Witaszewski. Poparcie Moskwy zapewnia tej grupie automatycznie posłuszną solidarność ze strony niedotkniętej ekskomuniką Chruszczowa części Politbiura: stąd w tym czasie z grupą tą sympatyzują tacy starsi działacze jak Aleksander Zawadzki, Konstanty Rokossowski, Franciszek Jóźwiak, Hilary Chełchowski i Stefan Matuszewski. Wszystkich ich razem nazywano później "Natolińczykami". Natomiast na określenie pierwszej grupy w żargonie partyjnym utarła się nazwa "Grupa Puławska". Nazwa ta nigdy jednak nie spopularyzowała się tak dalece jak poprzednia i o ile przeciętny Polak potrafiłby z łatwością odpowiedzieć na pytanie, co to jest "Natolin", rzadko kiedy umiałby wyjaśnić, co to są "Puławy". Ale menadżerzy tych grup nazywają się wzajemnie

od dawna inaczej. Dla Puławian Natolińczycy to "chamy", a dla Natolińczyków Puławianie to "żydy". Obie nazwy świadczą chlubnie o ideologicznym wyrobieniu i głębi socjalistycznych przekonań jednych i drugich.

Po interwencji Chruszczowa na VI Plenum sprawa wydaje się więc jasna. "Żydy" muszą odejść i ustąpić miejsca "Chamom". Wszelki opór wydaje się w tej sytuacji beznadziejny.

Ale komuniści tak łatwo z władzy nie rezygnują. Puławianie w sytuacji zdawałoby się beznadziejnej, do walki przystępują, rozgrywają ją z godnym podziwu mistrzostwem i kończą absolutnym zwycięstwem.

Ludzie bezpośrednio odpowiedzialni za koszmarny terror policyjny, nieludzki ucisk, wymordowanie setek najlepszych i najwartościowszych ludzi i zniszczenie kultury polskiej, decydują się teraz wyzyskać jako swój podstawowy atut w walce z przeciwnikami... opinię publiczną.

Okazja sama się nadarza. Jest nią ów nieszczęsny referat Chruszczowa. Impreza zostaje wyreżyserowana w ten sposób, że nawet kilkuletnie dzieci wpuszcza się na zebrania, na których dowiadują się one szczegółów tortur, wymuszania zeznań, ludobójstwa itp. Na zebraniach tych pojawia się kilku, stale tych samych, stosunkowo mniej skompromitowanych członków grupy: Jerzy Morawski, Władysław Matwin, Leon Kasman, Stefan Staszewski. Jak chłopcy na posyłki krążą oni od fabryki do fabryki i od instytucji do instytucji i wszędzie pokazują, jak ich serce boli. Nie ważne jest zresztą co mówią i jak się zachowują; ważne jest, że w tłum idzie wieść: "Istnieje w kierownictwie partyjnym grupa «Młodych Sekretarzy». To są uczciwi komuniści, którzy szczerze dążą do demokratyzacji. Trzeba im pomóc". Opinię publiczną trudno było zmusić, żeby identyfikowała się z Bermanem, Mincem i Zambrowskim. Rzecz aranżowano więc tak, żeby się zaczęła identyfikować z Morawskim i Matwinem.

Grupa ma wciąż w swoim ręku cenzurę, prasę i posłusznych pisarzy. Cenzura i redakcje dostają jak najbardziej liberalne wytyczne i w prasie zaczynają się pojawiać jeden po drugim odważne, reformatorskie, konsekwentnie demokratyczne artykuły, polemiki i felietony Jerzego Putramenta, Adama Schaffa, Stefana Arskiego, Zbigniewa Mitznera, Edmunda Osmańczyka, Henryka Korotyńskiego i wielu innych. Opinia publiczna zaczyna widzieć, że może liczyć na intelektualistów partyjnych. Nawet jeżeli w przeszłości błędzili, to dziś, gdy zrozumieli swoje błędy, odważnie i bez wahań piszą prawdę.

Wstrząs jest jednak silny, tym bardziej, że zarówno na zebraniach publicznych, jak i na łamach prasy sytuację szybko wykorzystują jednostki, które przez grupę nie są kontrolowane i które potrafią przemawiać i pisać zręczniejsz niż ci, którzy robią to na rozkaz. Rozbudzona opinia domaga się przede wszystkim dwóch rzeczy: reform i ukarania winnych. Z pierwszym nie ma kłopotu: Puławianie są teraz najdemokratyczniejsi i najliberalniejsi w świecie. Ale co zrobić z drugim problemem? Podjęta zostaje decyzja bolesna. Najbardziej zniechęcony i skompromitowany Jakub Berman zostaje poświęcony na ołtarzu sprawy. Dodaje mu się do towarzystwa trzech oficerów Bezpieczeństwa, niezręcznie w ten sposób sugerując, że gdyby ci trzej

oficerowie nie nabroili, wszystko byłoby O.K. Opinia jest wyraźnie niezaspokojona. Wobec tego jeszcze paru figurantów (Dworakowski, Świątkowski) idzie w odstawkę. To wszystko jednak mało.

Grupa zaczyna rozumieć, że problem odpowiedzialności osobistej musi być rozegrany inaczej, środkami bardziej subtelnymi. Przy pomocy inspiracji, perswazji, aluzji i przede wszystkim plotki, wędrującej kanałami prywatnymi, nieoficjalnymi. W fabrykach, biurach, redakcjach, kawiarniach pojawiają się uczeni, pełni dobrej woli członkowie partii, którzy zawsze mają czas, wysłuchują skarg, długo i cierpliwie tłumaczą, informują, sugerują. Zniknęli władczy, fanatyczni, nieprzystępni, niedopuszczający do dyskusji biurokraci. Widać, że członkowie Partii to tacy sami ludzie, jak wszyscy inni; widać, że oni też byli ofiarami stalinizmu. Wśród tych sympatycznych członków Partii jest sporo kobiet. Inteligentne, dobrze poinformowane, nie zachowujące żadnego dystansu, gotowe z każdym być na "ty" z łatwością potrafią przekonać swoich rozmówców o słuszności wspólnej sprawy!

Parę wspomnień osobistych. Koleżanka z pracy, członek rodziny jednego z najwyższych dostojników partyjnych, informuje mnie i parę innych osób, że "Zambrowski to bardzo porządny człowiek. On naprawdę szczerze i uczciwie zmienił przekonania. Za to Zawadzki to straszna świnia". Żona dyrektora departamentu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych w większym gronie w kawiarni długo tłumaczy, że domaganie się odpowiedzialności osobistej za wyczyny w okresie stalinowskim, to tylko woda na młyn Natolińczyków, bo oni tym hasłem demagogicznie szermują po to, żeby rozpętać hecę antysemitką. Oficer Dywizji Kościuszkowskiej, łączniczka Zambrowskiego opowiada mi długo w nocy o tym, jak na froncie wschodnim przewoziła od Zambrowskiego do Alfreda Lampego i z powrotem jakieś konspiracyjne materiały i jak w trzy dni potem Lampe już nie żył, jej zdaniem niewątpliwie zamordowany. Podaję te trzy przykłady jako coś typowego. Uwaga tych doradców i doradczyń była całkowicie pochłonięta sprawami personalnymi, a nad wszystkim dominowała intencja tworzenia alibi dla szefa i jego kompanów oraz przerzucenia odpowiedzialności na innych.

W lipcu 1956 r. spadają na Puławian trzy ciosy. Wizytujący Polskę w czasie święta 22 lipca Bułganin w oficjalnym przemówieniu atakuje w gwałtowny sposób całą polską prasę. Niemal jednocześnie w czasie odbywającego się w tym samym miesiącu VII Plenum K.C. P.Z.P.R. Natolińczycy występują z dwiema groźnymi inicjatywami. Wiktor Kłosiewicz domaga się wprowadzenia do K.C. Gomułki, a Zenon Nowak wygłasza dłuższy, naszpikowany danymi statystycznymi referat, ilustrujący jaki odsetek stanowisk w różnych resortach zajmują Żydzi.

Przemówienie Bułganina było oczywiście pomyślane jako ostrzeżenie grupy przed dalszym rozrabianiem opinii. Groźba poskutkowała: kleszcze cenzury, nieco już ściśnięte po wypadkach poznańskich, po przemówieniu Bułganina zostają mocno zaciśnięte i konfiskaty sypią się jedna za drugą. Na propozycję w sprawie Gomułki grupa odpowiada sprzeciwem: bądź co bądź to Zambrowski podpisywał nakaz aresztowania byłego sekretarza generalnego K.C. Na plenum sprzeciw ten w imieniu grupy wyraża Stefan Staszewski, a panie mówią po kawiarniach, że "nie należy dawać posłuchu pretensjom, które mają już dziś charakter historyczny". Obie te reakcje nie były szczególnie mądre i

w obu wypadkach przyszło wkrótce do zmiany decyzji. Natomiast reakcja na przemówienie Nowaka i w ogóle cała sprawa żydowska została rozegrana z niebywałym mistrzostwem.

Sens przemówienia Nowaka był jasny. Da ono się streścić w słowach: "Jak wy będziecie dalej tak szermować swoim liberalizmem przeciwko nam, to my przeciwko wam poszermujemy antysemityzmem i zobaczymy, za kim pójdą wtedy masy". Tej raczej banalnej myśli służyła cała rozbudowana statystyka. Grupa Puławska nie była bynajmniej, jak to później Natolińczycy usiłowali sugerować, grupą ekskluzywnie żydowską. Ale grupa natolińska była "rasowo czysta" i dlatego, w przeciwieństwie do pierwszej, na luksus antysemityzmu mogła sobie pozwolić.

Przemówienie Nowaka było na razie pogroźką; próba jej realizacji nastąpiła dopiero później. Mimo to Puławianie od razu poszli do kontraktaku.

Przed wszystkim pogwałcono zupełnie zasadę tajemnicy obrad Plenum. Kto chciał i kto nie chciał, musiał słuchać, jak komunizm jest hańbiony przez rasistowskie przesady niektórych towarzyszy. Ze wszelkimi szczegółami i z wymianianiem nazwisk opowiadano, co powiedział Nowak i jak mu replikowano. Nie ograniczano się w tym do ostatniego Plenum: nagle się okazało, że już na poprzednim Plenum Chruszczow robił jakieś antysemickie uwagi i dowcipy. Kolportując rzekomo wypowiedziane wtedy przez Chruszczowa powiedzonka Puławianie osiągnęli dwa cele uboczne: kompromitowali antysemityzm Natolińczyków przez wskazywanie na jego moskiewskie pochodzenie oraz sugerowali, że rzeczywistym powodem sprzeciwu Chruszczowa wobec kandydatury Zambrowskiego było jego żydowskie pochodzenie, co, nawet jeżeli dowcipy są prawdą, jest już zupełnie nieprawdopodobne. Od tej pory propaganda Puławian staje się mniej lub bardziej otwarcie antysowiecka.

W kształtowaniu opinii publicznej Puławianom udaje się dokonać jeszcze jednej niebywale zręcznej wolty. Udaje im się mianowicie wykorzystać sprawę żydowską do likwidacji tak bardzo niewygodnego dla nich problemu odpowiedzialności osobistej za wyczyny z okresu stalinowskiego. Kto tę sprawę podnosi, zostaje natychmiast okrzyknięty jako antysemita. Przykładem tego, jak manipulowano straszakiem antysemityzmu tam, gdzie czyjeś pochodzenie żydowskie nie miało najmniejszego znaczenia i gdzie naprawdę chodziło o coś całkiem innego, może być nieco późniejsza już sprawa Burgina. Juliusz Burgin był w czasach stalinowskich dyrektorem jednego z departamentów Ministerstwa Bezpieczeństwa. Z tej racji został po październiku przesłuchany przez specjalną komisję do badania działalności wspomnianego resortu. Coś istotnego musiało w trakcie tego przesłuchania wyjść na jaw, skoro natychmiast po przesłuchaniu Burgina odwołano ze stanowiska rządowego, które wówczas zajmował. Zanim wiadomość o jego odwołaniu mogła ukazać się w prasie, "Przegląd Kulturalny" zamieścił idiotyczny i histeryczny artykuł Burgina o tym, jak Żydzi uciekają z Polski do Izraela, nie mogąc znieść poniżeń i upokorzeń, które ich na każdym kroku w Polsce spotykają. Cel był jasny: stworzyć wrażenie, jakoby dymisja była represją za artykuł, odwrócić tym samym uwagę od ciemnej przeszłości i jednocześnie rzucić podejrzenie, że wszystko razem było rozgrywką na tle rasowym. Z artykułem Burgina podjęła najzupełniej słuszną polemikę trójka młodych redaktorów z "Po Prostu", o których

zaczęto natychmiast po kawiarniach szeptać: "to antysemita!". Miałem w Warszawie znajomą, zwyczajną aferzystkę i złodziejkę, Żydówkę, która oskarżała o antysemityzm wszystkich, którzy wysuwali pod jej adresem pretensje finansowe. Dobra szkoła grupy Puławskiej odnosiła rezultaty. Doszło do tego, że ludzie naprawdę zaczęli wierzyć, że tylko antysemita żąda odpowiedzialności za zbrodnie stalinizmu i że po to, aby do antysemityzmu nie dopuścić, należy z żądań tych zrezygnować. Ten kto żądał ukarania ubeka-nieżyda, też był okrzykiwany antysemitą. Wielokrotnie powtarzany absurd był w końcu brany na serio.

Do akcji zmobilizowano prasę. Zaapelowano do różnych ludzi cieszących się autorytetem, którzy zaczęli publikować artykuły na temat antysemityzmu. Najlepiej spełnił jednak swoje zadanie bodajże Jerzy Broszkiewicz, który podkreślił, że antysemityzm "dawno już przekroczył progi komitetów partyjnych". O takie wskazywanie palcem przecież chodziło. Zainspirowano też na wielką skalę prasę zachodnią. Inspirowanie prasy zachodniej przez grupę Puławską zdarzało się już zresztą i dawniej; było to jednak raczej inspirowanie indywidualnych korespondentów czy poszczególnych artykułów. Tu po raz pierwszy zrobiono to na znacznie większą skalę. Charakterystyczny był podział ról pomiędzy prasą krajową i zagraniczną. O ile prasa krajowa była przede wszystkim na alarm, że antysemityzm jest hańbą dla narodu polskiego, klasy robotniczej, partii komunistycznej itp., o tyle prasa zachodnia akcentowała przede wszystkim moskiewskie pochodzenie zarazy. Natomiast zarówno prasa krajowa jak i zachodnia zgodnie oceniały, że antysemityzm jest w Polsce czymś bardzo potocznym i występuje notorycznie.

Chcę być dobrze rozumiany. W najmniejszym stopniu nie jest moją intencją bądź lekceważenie antysemityzmu, bądź tym bardziej jego usprawiedliwianie. Chcę tylko jasno powiedzieć dwie rzeczy. Po pierwsze, że w ocenie nastrojów antysemitycznych w Polsce w tym czasie znacznie przesadzono i to celowo przesadzono. Przekonali się o tym najlepiej Natolińczycy, kiedy w okresie przewrotu październikowego spróbowali pogroźkę Nowaka zrealizować i swojej propagandzie istotnie nadali ton antysemityczny. Akcja ich zakończyła się kompletnym fiaskiem. Donoszono wtedy o sprowokowaniu jakichś zajęć na Dolnym Śląsku, ale osobiście nie znam ani jednego faktu sprawdzonego, a w każdym razie ani jednego faktu, co do którego zachodziłaby pewność że zajęcia wynikały istotnie na tle antagonizmu rasowego. Podana bodajże przez Romana Zimandę wiadomość o zamordowaniu jakiegoś Żyda w biały dzień na Dworcu Głównym we Wrocławiu okazała się czystym wymysłem. Oceniając rzecz z punktu widzenia czystej taktyki politycznej Natolińczycy, decydując się na otwarty antysemityzm popełnili błąd katastrofalny. Niewątpliwie działali w przekonaniu, że antysemityzm jest w Polsce czymś "chwytliwym" i że przy jego pomocy "trafią do mas". W rzeczywistości przekonanie to było stereotypem, uzasadnionym może dziesięć lat wcześniej, ale w tym czasie od dawna zupełnie już nieaktualnym. Propaganda natolińska okazała się przysłowiowym grochem o ścianę. Nikt się na ten numer nie nabierał i nikt się do bicia Żydów nie śpieszył. Natolińczycy dali w ten sposób tylko broń do ręki swoim przeciwnikom, którzy potrafili po mistrzowsku wykorzystać ludzkie oburzenie moralne na antysemityzm dla własnych celów, nic ze sprawą żydowską nie mających wspólnego.

Ale chciałbym wyraźnie powiedzieć jeszcze coś innego. To mianowicie, że ani

Natolińczycy ani w ogóle antysemita nie mają bynajmniej monopolu działania na szkodę ludności żydowskiej w Polsce. O ile nastroje antysemita w Polsce w r. 1956 były już bardzo słabe, o tyle Puławianie swoją praktyką oskarżania o antysemita każdego, kto miał do nich o cokolwiek pretensję zrobili wszystko, żeby nastroje te wzmocnić. Sytuację pogarszała jeszcze ta okoliczność, że w środowisku Puławian było mnóstwo pospolitych afer kryminalnych na wielką skalę (sprawa Lucjana Pennera, sprawa Józefa Krakowskiego, różne sprawy handlu zagranicznego i przede wszystkim porwanie Bohdana Piaseckiego), które w ogólnej atmosferze walki z antysemita sprawcom uchodziły na ogół na sucho. Ale to nie wszystko. Umożliwienie żydom polskim emigracji do Izraela było zapewne inicjatywą Puławian. Puławianom musiało zależeć na tym, żeby raz na zawsze pozbawić swoich przeciwników okazji do manewrowania antysemita; usunięcie ludności żydowskiej z Polski było najlepszym środkiem, prowadzącym do tego celu. Za to żydostwo całego świata może być Puławianom tylko wdzięczne. Tylko, że cały ten plan został wykonany może z nieco przesadną konsekwencją. Tel-Aviv czy Haifa są dzisiaj miastami, które pod względem odsetka mieszkańców mówiących po polsku śmiało mogą konkurować z Chicago czy Detroit. Tylko w przeciwieństwie do Chicago czy Detroit żadne polskie dziecko z Tel-Awivu czy Haify nie zostanie nigdy zaproszone do Polski na kolonie wakacyjne, nikt w Warszawie się nie zatroszczy, żeby do tych miast docierały polskie książki i polska prasa, a śmiałkom, którzy decydują się iść do konsulatu P.R.L. w Tel-Awivie prosić o wizę, niemal zawsze pokazuje się drzwi, i to bez względu na to, jaką ilością dewiz petenci ci dysponują. Jak widać z powyższego władzom P.R.L. nie zawsze jest obojętne, kto jest ochrzczony, a kto obrzezany. I to jest skutek polityki Puławian, a nie Natolińczyków ani żadnych innych sił w P.Z.P.R.

VII

Rozpisałem się tutaj o sprawie żydowskiej dlatego, że na ten temat było w r. 1956 szczególnie dużo zamieszania. Ale mimo to kampania prowadzona w tej sprawie przez Puławian począwszy od lipca 1956 r. była czymś na marginesie kampanii zasadniczej, która polegała na systematycznym, imiennym kompromitowaniu swoich przeciwników.

Zaraz po VII Plenum K.C. zostają szeroko roztrąbione pierwsze informacje o Natolińczykach. Poza informacjami o ich antysemita podkreśla się w szczególności ich antyinteligencność, ich stalinowskie poglądy i nawyki oraz ich powiązania z ambasadą radziecką. Ostatnia informacja była bez wątpienia prawdziwa. Także informacja o antyinteligencności Natolińczyków była prawdziwa, niezależnie od faktu, że ten moment nie bez powodu był wysunięty na plan pierwszy. Do stylu działania Puławian należało bowiem zawsze zaczynanie "od góry" społeczeństwa. Każdy działacz tej grupy miał prywatne powiązania z jakimiś środowiskami intelektualnymi lub artystycznymi, przeważnie warszawskimi. Każdą plotkę, każdą sugestię, każdą inspirację puszczano w obieg przede wszystkim tymi kanałami; dopiero później rozchodziły się one po całym społeczeństwie i po całym kraju. Rzecz prosta, informacja o antyinteligencności Natolińczyków dla tych środowisk musiała mieć walor szczególnie mobilizujący; ona w pierwszym rzędzie zapewniała Puławianom poparcie tych środowisk.

Natomiast jeżeli chodzi o stalinizm Natolińczyków, to ta etykieta jest w stosunku do nich uzasadniona na pewno nie bardziej, a może nawet trochę mniej, niż w stosunku do Puławian. Za czasów Stalina Natolińczycy w opozycji nie byli z pewnością i dyrektywy spełniali gorliwie. Ale gwardia stalinowska w Polsce, to przede wszystkim Puławianie, a Natolińczycy to raczej ludzie Chruszczowa. Natolińczycy domagali się odpowiedzialności personalnej za zbrodnię U.B., podczas gdy Puławianie wywijali się jak mogli i zrobili wszystko, żeby sprawę utopić. Oczywiście było w tej taktyce natolińskiej sporo demagogii i są wszelkie dane, aby sądzić, że ta odpowiedzialność miała też pewne, z góry zakreślone granice. Ale mimo wszystko sam fakt, że Natolińczycy dyskusję na ten temat prowokowali, a Puławianie bali się jej jak zarazy, o czymś świadczy.

Puławianie nie cofają się przed żadnym środkiem personalnej kompromitacji swoich przeciwników. Czego nie można w prasie napisać wprost, to się robi przy pomocy aluzji, na którą czytelnik jest w tym czasie szczególnie wyczulony. Po kraju krążą w robionych na maszynie odpisach wierszyki satyryczne o Witaszewskim, Łapocie czy Józwiaku. Szerokie warstwy ludności zostają poinformowane o tym, jak wysokie są pensje Kłosiewicza, Mijala czy Nowaka, ile mają oni willi do swojej dyspozycji i jak wyglądają orgie seksualne w tych willach urządzone, zupełnie tak, jakby ministrowie puławscy nie otrzymywali tych samych poborów, nie mieli tych samych willi i jakby ich obyczajowości nie można było nic zarzucić. Dla Puławian w tym okresie względy lojalności wobec partii czy względy na interes państwa przestają odgrywać jakąkolwiek rolę. Ich agenci nie zajmują się dosłownie niczym konstruktywnym: cała ich uwaga pochłonięta jest wyłącznie personalnymi i siuchtowymi rozróbkami. Aparat wykonawczy władzy państwowej zostaje celowo doprowadzony do stanu kompletnej dezorganizacji i absolutnej niemocy.

Natolińczycy reagują na to wszystko ze stoickim spokojem. Niewątpliwie wychodzą z założenia, że skoro oni mają w swoim ręku poparcie Kremla i armię, to przeciwnicy mogą sobie krzyczeć dowoli: los sporu jest i tak przesądzony. Niewątpliwie tak samo rozumuje stary puławski agent, Bolesław Piasecki i dlatego stawia on w tym czasie ostatecznie na konia natolińskiego. Kiedy to całe towarzystwo się ze słodkiej drzemki ocknęło, było już za późno. Piasecki mógł przynajmniej bronić swego mocno nadwątlonego honoru na łamach "Słowa Powszechnego", ale Natolińczykom pozostały już do dyspozycji tylko powielacze.

VIII

Decydująca batalia zostaje rozegrana przez Puławian niezwykle zręcznie mimo, że nie odnoszą oni w końcu sukcesu tak olśniewającego, jaki sobie wymarzyli. Przede wszystkim udaje im się w końcu zjednać sobie Gomułkę. Pozbawiony własnych ludzi w aparacie partyjnym i możliwości realizowania własnych zamierzeń, Gomułka ma do wyboru bądź pozostać na uboczu, bądź stać się figurantem którejś z ubiegających się teraz o firmę jego nazwiska frakcji. Niewątpliwie do obu frakcji odnosi się ze wstrętem: jeżeli w końcu wybiera wykazujących mniej gotowości do ustępstw wobec niego Puławian, to niewątpliwie decyduje tu moment zależności Natolińczyków od ambasady sowieckiej. W długich, przeciągających się targach z Puławianami Gomułka stara się zapewnić sobie możliwie jak najlepszą i jak najsamodzielniejszą pozycję, stawia warunki.

Udaje mu się zapewnić sobie stanowisko sekretarza generalnego, wprowadzić maksymalną ilość swoich ludzi na kluczowe pozycje, doprowadzić - po długich oporach Puławian - do usunięcia Minca. Mimo to jest całkowicie w rękach dysponujących większością w K.C. i w aparacie Puławian. Może co najwyżej liczyć na to, że z biegiem czasu zakres jego osobistej władzy się powiększy.

W tym momencie przygotowania do przewrotu są właściwie zakończone. Na trzy czy cztery dni przed VIII Plenum prasa nagle zaczyna robić publicity dla oficjalnie od siedmiu lat zapomnianego wodza. Następuje jednak interwencja sowiecka.

Puławianie zapewne celowo kompletnie zdeorganizowali aparat władzy w Polsce, żeby mieć potem wobec Chruszczowa argument, że przecież trzeba w Polsce dokonać jakichś zmian radykalnych po to, aby można było przywrócić porządek. Liczyli zapewne na to - i w tym się bynajmniej nie przeliczyli - że Chruszczowowi będzie bardziej zależało na przywróceniu porządku możliwie najprostszym sposobem i w możliwie najkrótszym terminie, niż na ochronie własnych agentów, którzy na dobitkę wykazali wręcz nieprawdopodobną nieudolność. Wydaje się jednak, że siła oporu Chruszczowa ich zaskoczyła. Nie mając w tym momencie już nic do stracenia, chwytają się środków radykalnych. Polskie Radio co chwilę powtarza z naciskiem, że Polska jest państwem suwerennym, a Komitet Warszawski P.Z.P.R. rozdaje broń robotnikom. Ten moment w ocenie wydarzeń jest szczególnie ważny. To nie opinia publiczna przez nieodpowiedzialne wystąpienia narażała kraj na interwencję sowiecką. Naprawdę na krawędź przepaści prowadziła kraj grupa pozbawionych skrupułów kombinatorów, kierując się wyłącznie motywem klikowego interesu. W tej sytuacji dochodzi do przyjazdu Chruszczowa i rozmowy Chruszczowa z Gomułką.

Zwracałem już wyżej uwagę na to, że rzeczywista treść tej rozmowy jest nikomu nieznaną. Ale spróbujmy, z pełną świadomością że możemy się mylić, trochę na temat tej rozmowy pospekulować.

Gomułka nie miał żadnych powodów do sympatii w stosunku do grupy Puławskiej. To byli przecież ludzie Bieruta, ci sami którzy jego i jego przyjaciół podgryzali, kompromitowali, ośmieszali, upokarzali, a następnie aresztowali, więzili i torturowali. Co więcej, w czasie VIII Plenum musiał on rozpaczliwie szukać środków uniezależnienia się od ich kurateli. W tej sytuacji wydaje się chyba wysoce prawdopodobne, że Gomułka dążył do tego, żeby w oparciu o Chruszczowa kuratelę tę przynajmniej rozluźnić. Jego pozycja w rozmowie z Chruszczowem była o tyle dobra, że jawnie nie ponosił on odpowiedzialności za to, co się w danym momencie w Polsce działo. Mógł on przecież zawsze się powołać na to, że jeszcze trzy dni wcześniej był prywatną osobą nie mającą żadnych politycznych wpływów. Nie będąc naprawdę za nic odpowiedzialny, dążył on zapewne przede wszystkim do zrzucenia odpowiedzialności z siebie i obciążenia tych, którzy naprawdę byli za wszystko odpowiedzialni, tzn. Puławian. Swój sojusz z Puławianami mógł przed Chruszczowem umotywić tym, że był to dla niego środek dojścia do władzy i użycia jej w celu odbudowania rządzącego aparatu i przywrócenia w kraju porządku; wydaje się przy tym, że to był jego motyw rzeczywisty. Nie było mu zapewne trudno przekonać Chruszczowa, że w sojuszu z Natolińczykami zrobić tego samego nie było można; ci bowiem swoją nieudolnością i w ogóle całym swoim

postępowaniem musieli i tak zdyskwalifikować się w oczach Chruszczowa kompletnie. (Zgoda Chruszczowa na odwołanie Rokossowskiego mogła być już prostą konsekwencją tego stanu rzeczy). Gomułka zapewne perswadował Chruszczowowi, że na uspokojenie opinii i przywrócenie porządku potrzeba czasu. Ale Chruszczow wiedział, że w razie użycia czołgów i karabinów maszynowych te same efekty też nie zostaną osiągnięte z dnia na dzień. Jeżeli dodamy do tego, że Chruszczow nie miał żadnych powodów do szczególnej nieufności wobec antystalinowskiego i przy tym niewątpliwie jak najbardziej komunistycznego działacza (w każdym razie nieufności większej, niż do innych satelickich dyktatorów), to w ogóle wszelkie racje użycia armat odpadały nawet, jeżeli Gomułka usiłował wykorzystywać swoją w gruncie rzeczy dosyć mocną pozycję do stawiania jakichś warunków.

Powtarzam, że to są tylko domysły, ale taki mniej więcej przebieg rozmowy wydaje mi się dość prawdopodobny tym bardziej, że dalsze wydarzenia wydają się taką hipotezę pośrednio potwierdzać. Z hipotezy tej wynika jednak kilka istotnych wniosków.

Po pierwsze, podobnie jak nieprawdą jest, że to opinia publiczna narażała kraj na konflikt zbrojny z Rosją, tak nieprawdą jest, że opinia publiczna przez swój polityczny rozsądek do konfliktu tego nie dopuściła. Armia Czerwona nie zaczęła strzelać w Warszawie nie dlatego, że opinia publiczna wykazała rozsądek, tylko dlatego, że nie było przeciwnika, do którego strzelanie miałyby jakikolwiek sens. Podobnie ta sama armia zaczęła strzelać w Budapeszcie nie dlatego, że tam opinia publiczna okazała się nierozsądna, tylko dlatego, że tam był taki przeciwnik. Różnica pomiędzy Gomułką a Imre Nagy'm i jego rządem była ta, że Gomułka obiecywał zahamować proces demokratyzacji i położyć kres dalszym żądaniom mas, podczas gdy Nagy występował w imieniu mas i w ich imieniu dalsze żądania wysuwał.

Po drugie, w tym, co się w październiku 1956 r. w Warszawie stało, nie ma absolutnie żadnego elementu cudu. Wszystko było jak najbardziej naturalne i zrozumiałe. Nie jest wykluczone, że Chiny istotnie się sprzeciwiały kompromitującej cały blok wojnie pomiędzy kochającymi się bratnimi narodami. Ale zbawienie dla Warszawy przyszło nie z Pekinu, lecz z samej Warszawy. Gdy w Budapeszcie tej łaski boskiej zabrakło, to w Pekinie jej też nie było.

Po trzecie, cały "październik" był w gruncie rzeczy wielkim sowieckim sukcesem politycznym. Chruszczow przyleciał do Warszawy niewątpliwie przerażony tym, co się tam działo. Po paru godzinach mógł odlecieć spokojny, że sytuacja została opanowana i że w niedługim czasie anarchia zostanie ukrócona i porządek przywrócony. Panuje przekonanie, że Warszawa była sowiecką porażką a Budapeszt zwycięstwem. W rzeczywistości było chyba odwrotnie. W Warszawie i w Budapeszcie Chruszczow odniósł w końcu te same efekty, tylko że w Warszawie przy pomocy jednej gabinetowej rozmowy, a w Budapeszcie kosztem strat nieobliczalnych, kosztem groźby rozłamu, która długo jeszcze wisiała nad międzynarodowym ruchem komunistycznym, kosztem nieprawdopodobnych trudności w rokowaniach z Zachodem, kosztem utraty zaufania w państwach azjatyckich i afrykańskich, kosztem zupełnego niewykorzystania wspaniałej koniunktury sueskiej. Budapeszteński "sukces militarny" sukcesem politycznym nie był na pewno.

Po czwarte, "październik" oznacza zahamowanie procesu demokratyzacji w Polsce i punkt zwrotny, od którego zaczyna się cofanie. Jest to nawet nie tyle skutek tego, co Gomułka Chruszczowowi obiecywał i w ogóle jaki był przebieg ich rozmowy, ile skutek zmiany, jaka się dokonała w centralnym ośrodku władzy. Przed październikiem dwie grupy rywalizowały ze sobą o władzę nad narodem: po to, aby odnieść w tej rywalizacji sukces musiały starać się o pozyskanie opinii a po to, aby tę opinię pozyskać, musiały pójść na jakieś wobec niej ustępstwa. Przewrót październikowy tę pomyślną koniunkturę likwiduje: z dwóch grup rywalizujących pozostaje na placu boju tylko jedna, która nie ma już więcej żadnego interesu w tym, żeby czynić wobec mas jakiegokolwiek ustępstwa. W interesie narodu polskiego leżało w r. 1956 utrwalenie stanu skłócenia i słabości władzy, a nie przechylenie szali na korzyść którejkolwiek ze stron. Tylko dzięki temu, że władza była wtedy skłócona i słaba, możliwe były tak szybkie postępy demokratyzacji jak te, które się dokonały między VI a VIII Plenum K.C. P.Z.P.R. Skupienie całej władzy w rękę Puławian w październiku 1956 kładzie tej wyjątkowej koniunkturze kres. To, co się w Polsce działo między marcem a październikiem 1956 r. było swoistą namiastką systemu wielopartyjnego. Fakt rywalizacji jakichś grup o władzę stwarzał automatycznie pewne, bardzo zresztą niedoskonałe, formy kontroli władzy mimo, że nie było ani parlamentu, ani wolnych wyborców, ani innych elementów ustroju demokratycznego. Natomiast przewrót październikowy jest powrotem do zupełnej dyktatury. Dla sił demokratycznych w Polsce był to cios straszliwy.

Zanim przejdę do ostatniego, piątego punktu, chcę od razu wspomnieć o pewnym możliwym zarzucie, którego postawienia w tym miejscu się spodziewam. Łatwo mianowicie wskazać na to, że szereg istotnych reform zostało przeprowadzonych już po październiku. Wśród tych reform najważniejszymi były: 1) likwidacja U.B. 2) odwołanie "doradców radzieckich", 3) uregulowanie stosunków z Kościołem oraz 4) dopuszczenie do samolikwidacji kolchozów. Na zarzut ten odpowiem jednak za chwilę wtedy, kiedy będę się zajmował sytuacją, jaka powstała w Polsce po przewrocie.

Wreszcie wniosek piąty i ostatni. Cała historia październikowa polegała na wyjątkowo cynicznym i trzeba powiedzieć wyjątkowo skutecznym oszukiwaniu opinii publicznej i wprowadzaniu jej w błąd. Masy robiły w istocie to, czego chcieli Puławianie. W pewnym momencie interesy mas i interesy Puławian były istotnie zbieżne: w interesie mas leżało wykorzystanie za wszelką cenę i z maksymalną konsekwencją stworzoną przez Puławian koniunkturę na demokratyzację. Ale masy na ogół wierzyły w uczciwe intencje "sił postępowych partii", w cały czarno-biały obraz układu sił frakcyjnych w kierownictwie partyjnym, w demagogiczne obietnice, które im rzucano. Masy darzyły ogromnym zaufaniem Gomułkę wtedy, kiedy jego celem było maksymalne skoncentrowanie władzy w swoim rękę i użycie jej w celu cofnięcia reform, które już zostały dokonane i niedopuszczenia do następnych. Masy pokładały ogromne nadzieje w przewrocie, który był dokonany po to, żeby nadzieje te zawieść. Masy dały z siebie entuzjazm, taki, jaki dla każdego rządu każdego kraju byłby szczytem marzeń. Tylko że są rządy, które umieją wykorzystać entuzjazm swoich narodów dla przeprowadzenia rzeczy konstruktywnych bez uciekania się do bata. Natomiast rząd Gomułki i Cyrankiewicza z bata zrezygnować nie miał zamiaru ani przez chwilę. Dlatego ten entuzjazm był tylko rzeczą krępującą: czymś, co należało odepchnąć i co faktycznie odepchnięto w sposób możliwie jak

najbardziej brutalny.

Wspomniałem wyżej o roli Wyszyńskiego w wypadkach październikowych. Postępowanie Wyszyńskiego było, jak sądzę, typowym przykładem działania opartego na dezorientacji i politycznie zupełnie nonsensownego. Być może Wyszyński popierając Gomułkę i pacyfikując opinię miał na względzie bezpieczeństwo kraju przed sowiecką interwencją. Ale sowiecka interwencja zależała od tego, jak się zachowają Puławianie, a nie od tego, ile wieców urządzą studenci Politechniki i ile strajków zorganizują robotnicy. Rok później w czasie rozruchów po zamknięciu "Po Prostu" - aktywność studentów i robotników warszawskich bodaj przewyższała to, co było w r. 1956; a mimo to nikt o interwencji sowieckiej nie myślał, bo nie było konfliktu pomiędzy władzami polskimi i rosyjskimi. Być może Wyszyńskiemu chodziło o interesy Kościoła i wzmocnienie pozycji Kościoła. Ale uregulowanie stosunków z Kościołem było już w tym momencie sprawą przesądzoną i żadne przemówienia Wyszyńskiego nic w tym nie zmieniały. Przez swoje postępowanie Wyszyński osiągnął jedno: ustanowił wzór dla katolickich oportunistów. Postępowanie katolickich intelektualistów, zwłaszcza w sejmie, w ciągu lat ostatnich spotykało się już niejednokrotnie z jak najbardziej uzasadnionymi krytykami. Ale twórcą koncepcji politycznej, której intelektualisci ci są wyrazicielami jest w gruncie rzeczy Wyszyński. W momencie, w którym Wyszyński włączył się do akcji, sprawa Gomułki nie była już absolutnie sprawą demokracji w Polsce. W tym momencie jakiegokolwiek włączenie się w tę grę nie miało już żadnego sensu.

Analizuję tu postępowanie Wyszyńskiego dlatego, że było ono w tym momencie czymś typowym. Cały naród polski pokładał w przewrocie październikowym ogromne nadzieje i na ogół darzył przywódców przewrotu zaufaniem. Tym bardziej gorzka była pigułka, jaką dano narodowi później do przełknięcia, kiedy zdobycze tego okresu były likwidowane jedna po drugiej, kiedy Wyszyński i intelektualisci katolicy mogli się przekonać, jak naiwnie liczyli na trwałą stabilizację stosunków Państwa z Kościołem, kiedy najuroczystsze obietnice okazywały się cynicznymi kłamstwami. I kiedy na domiar wszystkiego zabroniono nawet pisać o październiku, a w najlepszym razie przedstawiano - co też jest legendą - całą jego historię, jako "reformę aparatu władzy", jako środek, który miał na celu wyprowadzić ten aparat ze stanu niemocy, w jakim się on w r. 1956 znalazł i umożliwić mu efektywne działanie. Jak gorzko komentowano to wypieranie się i wstydenie jedynej chwili, jaką można było polskim przywódcom komunistycznym poczytywać za chwalebna i ile złości wywoływała ta nowa legenda!

Za wcześnie jeszcze, żeby odróżniać ziarno autentycznej polskiej myśli demokratycznej od plew Puławskiej agentury. Za wcześnie, żeby z wymienianiem nazwisk, dat i okoliczności pokazywać, jak różne były w Polsce "rewizjonizmy". Za wcześnie żeby oceniać siły ruchu masowego, jaki wtedy w Polsce działał. To wszystko jest zadaniem przyszłych historyków. Można jednak już dzisiaj powiedzieć, że to, co było wtedy w Polsce autentycznie i szczerze demokratyczne i niezależne od koniunkturalnych kombinacji Puławian, było liczebnie silne i potrafiło - o czym jeszcze będę miał okazję mówić - budzić w szeregach partyjnych leaderów strach paniczny. Mimo to ten autentycznie demokratyczny ruch był przeraźliwie źle zorganizowany, pozbawiony przywódców, a ponadto dawał się inspirować i ulegał prowokacjom. Ruch ten mógł z

pewnością odegrać większą rolę niż odegrał, gdyby głośniej upominał się o swoje prawa i głośniej stawiał żądania. Jest tragiczną ironią losu, że dzisiaj, sześć lat po opisywanych tu wydarzeniach, z całego tego ruchu nie pozostało ani śladu, podczas gdy Puławianie w dalszym ciągu prosperują znakomicie.

IX

Natychmiast po przewrocie październikowym Puławianie koncentrują się na dwóch sprawach. Po pierwsze pragną dobić powalonego przeciwnika. Po drugie pragną za wszelką cenę odgrodzić się od wczorajszego sojusznika. Poparcie niekomunistycznych mas, potrzebne im do rozgrywki z Natolińczykami, z chwilą zwycięstwa staje się dla nich rzeczą jak najbardziej krępującą. Kompromituje ich jako komunistów i przeszkadza im w monopolizacji władzy. W tym paragrafie skoncentruję się jednak na pierwszej sprawie. Natomiast drugiej sprawie będzie poświęcony paragraf następny.

W wykonaniu pierwszego zadania przeszkadza im Gomułka. Puławianie niewątpliwie liczyli na to, że po rozprawie z Natolińczykami Gomułka, osamotniony, nie posiadający własnych kadr w aparacie partyjnym, będzie całkowicie bezsilny i zdany na ich łaskę: że oni będą rządzić, a on będzie ich władzę firmował. Gomułka jednak już od pierwszej chwili myśli o uniezależnieniu się od Puławian. Prawdopodobnie wykorzystuje do tego celu rozmowę z Chruszczowem. Gomułka rozumie przy tym dobrze, że musi zachować elementy równowagi pomiędzy grupami frakcyjnymi w K.C. i w aparacie; innymi słowy, że musi jakichś nie-Puławian pozostawić na wpływowych stanowiskach.

Pomimo presji Puławskiej Aleksander Zawadzki pozostaje na stanowisku Przewodniczącego Rady Państwa, Zenon Nowak na stanowisku wicepremiera, a szereg podrzędnych Natolińczyków na podrzędnych stanowiskach. Puławianie dążą w tym czasie za wszelką cenę także do likwidacji PAX-u i pozbycia się Bolesława Piaseckiego. Wywołują w PAX-ie rozłam, w wyniku którego grupa ich agentów z Janem Frankowskim na czele tworzy odrębną organizację katolicką. Plan Puławian polegał na finansowym wykończeniu PAX-u poprzez roszczenia secesjonistów, którzy mieli poważne udziały w spółce. Ale Piasecki chwyta się kroków rozpaczliwych. Lokal Stowarzyszenia przy ulicy Mokotowskiej 43 zostaje zabarykadowany po to, aby nie dopuścić komorników sądowych. Jednocześnie Hagnmayer, Przetakiewicz, Reiff i inni zausznicy wodza krążą po całym mieście, szukając gorączkowo dostępu do niedostępnego Gomułki. W końcu Piasecki dostęp ten uzyskał. Podobno tłumaczył Gomułce, że zawsze był wrogiem Z.S.S.R., że nigdy nie miał nic wspólnego z Natolińczykami, że pokój, że demokracja, że Ziemia Zachodnie itp. Ale panika była przedwczesna, bo Gomułka i tak był zdecydowany PAX chronić. Polityka Gomułki wobec Natolińczyków i kół do nich zbliżonych polegała wyraźnie na tym, żeby eliminować nieprzejednanych i chronić tych, którzy zadeklarują z nim współpracę.

Puławianie rozwinęli też zdumiewającą energię, żeby obsadzić swoimi ludźmi wszystkie możliwe stanowiska, nawet drugo i trzeciorzędne. Pod tym kątem widzenia robiona była czystka w aparacie partyjnym. Ta polityka personalna była dla nich, jak się zdaje, rzeczą zupełnie oczywistą. Mimo to z perspektywy lat wydaje mi się dzisiaj, że właśnie w tym punkcie ci bezkonkurencyjni gracze polityczni coś przegapili i że właśnie ta akcja była

źródłem ich późniejszych niepowodzeń.

Puławianie nie dostrzegli chyba tego, że opanowanie przez nich całego aparatu partyjnego jest niemożliwe z powodów czysto arytmetycznych. Na to mieli po prostu za mało ludzi zaufanych. Nie dostrzegli tego, że zawsze pozostaną przez nich nieopanowane doły aparatu, które w naturalny sposób będą ciążyć przeciwko grupie inteligentnej, w dość znacznej części żydowskiej i co najważniejsze elitarnej, ekskluzywnej i gardzącej "chamami". Swoją polityką tworzyli sytuację paradoksalną. Sprawować władzę dyktatorską w Polsce mogłyby ostatecznie jednostki pochodzenia żydowskiego: sprawa żydowska nie budzi już dzisiaj w masach poważniejszych namietności. Ale Puławianie tworzyli sytuację, w której jednostki pochodzenia żydowskiego rządzą indyferentnym w sprawach rasowych narodem przy pomocy na wskroś antysemitckiego aparatu władzy! Trudno i darmo, ale ten układ nie mógł im zapewnić równowagi. Czy Puławianie mieli coś innego do wyboru, trudno powiedzieć. Ale wydaje się, że zamiast wkładać tyle energii w politykę personalną, powinni byli raczej pomyśleć o instytucjonalnym ograniczeniu władzy aparatu, który z natury rzeczy musiał stanowić dla nich potencjalne niebezpieczeństwo. Z tego niebezpieczeństwa - jak o tym jeszcze będę miał okazję mówić - zdawali sobie sprawę, gdy chodziło o aparat policyjny, mimo, że znajdował się całkowicie w ich rękach; podjęli też odpowiednie kroki, aby ograniczyć jego wpływy. Natomiast jeżeli chodzi o aparat partyjny sensu stricto, to poza zmianami czysto personalnymi wszystko pozostało po starym.

To, że Puławianom nie udało się dobić powalonego przeciwnika, to, że ich sukces nie był tu zupełny, należy moim zdaniem uważać za okoliczność pomyślną. Oznaczało to bowiem, że w centralnym ośrodku władzy równowaga jest chwiejna, że walka o władzę, chociaż w porównaniu z r. 1956 bardzo stłumiona i przyciszona będzie trwała nadal, że grupy rywalizujące będą, przynajmniej w jakiejś formie ukrytej, wzajemnie sobie przeciwdziałać i że jakieś formy kontroli władzy i jakieś elementy liberalizmu pomimo wszystko w Polsce się ostaną. Po paru latach walki te znowu przybiorą na sile i wtedy sytuacja się zmieni.

X

Drugie zadanie, jakie stanęło przed Puławianami okazało się mimo wszystko bardziej skomplikowane. Było tak mimo to, że w odcinaniu się od wczorajszych sojuszników i rozbijaniu ich, nie było żadnych rozbieżności pomiędzy Puławianami a Gomułką i mimo to, że tu sukces Puławian był zupełny.

Nowi władcy od pierwszej chwili czują strach przed wiwatującymi na ich cześć tłumami i reprezentantami dążeń tych tłumów, chociaż ci także, na łamach prasy i na zgromadzeniach popierają nowy rząd bez zastrzeżeń. Strach ten jest w pełni uzasadniony, skoro rząd ten nie tylko nie ma zamiaru spełniać wysuwanych przez ten tłum żądań, ale przeciwnie chce odbierać to, co tłum już uzyskał. Strach ten ma przy tym wielkie oczy: jest wiele oznak, wskazujących na to, że siła demokratycznego ruchu masowego w Polsce została przeceniona nie tylko w Warszawie, ale także w Moskwie.

Przez trzy miesiące panuje względny spokój, żadnych otwartych represji jeszcze nie ma.

Te trzy miesiące to okres przedwyborczy; a taktyka władz polega na tym, żeby się pochwalić przed światem poparciem narodu. Przez te trzy miesiące demoralizuje się opinię straszaniem interwencją rosyjską, koniecznością liczenia się z położeniem geograficznym, koniecznością skupienia się wokół rządu dla przeciwstawienia się zakusom zachodnio-niemieckich rewizjonistów itp. Komedia jest przy tym grana z całą bezczelnością. W warszawskich tramwajach zostały np. rozrzucone "konspiracyjne" ulotki, wzywające do głosowania na kandydatów "Frontu Jedności Narodu" dlatego, że kandydaci ci (w ulotkach wymieniano w tym kontekście nazwiska Cyrankiewicza i Albrechta) byli jakoby ofiarami Bezpieki. Te same ulotki ostrzegały przed bojkotem wyborów, gdyż bojkot miał być jakoby wodą na młyn tych, którzy "chcą nas wszystkich wziąć za mordę". Trzeba ponadto powiedzieć, że w utrzymaniu tych wszystkich fikcji walnie pomógł komunistom polskim Walter Ulbricht przez to, że zaangażował się w tym czasie w konflikt z Polską na tle sprawy Wolfganga Haricha. Ulbricht zdaje się nie rozumiał tej prostej rzeczy, że sam fakt jego konfliktu z jakimkolwiek przeciwnikiem musi temu przeciwnikowi przysparzać popularności.

Ale Gomułka i Puławianie umieli zdobywać sobie popularność nie tylko drogą takich komedii, Mam tu na myśli świetnie wykorzystany propagandowo fakt istnienia pewnych dziedzin, w których tendencje rządu były zgodne z tym, czego domagała się opinia publiczna.

Sprawa kołchozów i sprawa stosunków z Kościołem nie wymaga właściwie komentarzy. Chodziło po prostu o zwiększenie produkcji rolnej i o nieprovokowanie dodatkowych niepokojów w sytuacji, w której wszystko i tak kipiało. Bardziej skomplikowana jest sprawa jest sprawa "doradców radzieckich" i sprawa U. B.

Odwołanie doradców radzieckich było niewątpliwie prostą konsekwencją deklaracji Chruszczowa z 30 października 1956 r. Trudno powiedzieć, z jakich powodów Chruszczow na tę dziwną deklarację zdecydował się: trudno powiedzieć przede wszystkim, w jakiej mierze uczynił to w przekonaniu, że stalinowski system rządzenia krajami satelickimi nie zdał egzaminu, a w jakiej mierze wbrew przekonaniu a jedynie pod presją wydarzeń. Jakiegokolwiek były jednak jego motywy, fakt ogłoszenia tej deklaracji świadczy o tym, że Chruszczow nie miał w tym czasie zamiaru sprzeciwić się pozostawieniu rządów satelickim pewnej swobody decyzji, zwłaszcza w sprawach nie mających znaczenia międzynarodowego.

Co więcej, deklaracja ta wydaje się świadczyć, że interesy jakie Chruszczow miał w Warszawie 10 dni wcześniej, polegały raczej na tym, żeby wziąć za mordę naród, niż przywódców. Gomułka musiał sobie z tego zdawać sprawę. Jest zupełnie prawdopodobne, że oferując Chruszczowowi swe usługi w zakresie zdławienia istniejących elementów demokracji, żądał w zamian większej niezależności dla siebie. W każdym razie tendencje do częściowego uniezależnienia się od Rosji zarówno Gomułka jak i Puławianie żywili serio. Ani Gomułka ani Puławianie "ojczyzny proletariatu światowego" z pewnością nie kochają i w środowiskach Gomułkowców i Puławian dyskredytowanie i wydrwiwanie Rosji jest wprost kwestią dobrego stylu. Te postawy wobec Rosji przysparzały grupie rządzącej po październiku szczególnie dużo popularności w masach. W nastrojach mas było trochę zrozumiałej kompensacji za

tyloletnie upokorzenia. Ale było także sporo zwykłego, ordynarnego nacjonalizmu, wyładowującego się w problematyce "swojej" i "obcej" władzy. Jakby to, że władza jest "swoja" było samo przez się jakimś powodem do chwały. Co z tego, że Enver Hodža oskarża K.P.Z.R. o zdradę marksizmu, kiedy zastąpienie go przez agentów Chruszczowa byłoby zapewne szczęściem dla jego narodu!

Stosunek do Rosji, zarówno u Gomułki jak i u Puławian, wyznaczał postępowanie w sprawie Bezpieki. W przeszłości Bezpieka była narzędziem presji paranoicznie podejrzliwego Stalina na polskich leaderów komunistycznych. W r. 1956, mimo jej całkowitego opanowania przez Puławian, zachodziła zawsze obawa, że rozbudowany ponad wszelkie granice aparat policyjny znowu zacznie robić nie całkiem to, czego od niego oczekiwały władze partyjne. Całą propagandę Puławską w tej sprawie można w gruncie rzeczy sprowadzić do tezy: "Partia nad policją zamiast policja nad partią". To była rzecz konkretna, której jak zwykle przy okazji towarzyszyły komedie. Czytając artykuły na ten temat można było pomyśleć, że jedynymi ludźmi prześladowanymi w Polsce za czasów stalinowskich byli komuniści, zwłaszcza tacy, jak Bierut, Cyrankiewicz czy Albrecht. O rzeczywistych ofiarach, jeżeli wspominało, to raczej ogłędnie. Ważni byli "starzy zasłużeni towarzysze".

Z tych motywów Puławianie zabrali się rażno do przetrzebienia kadr "byłego Ministerstwa Bezpieczeństwa". Gomułka, który poznał tę instytucję z pierwszej ręki i który w dodatku nie miał pewności, czy ten Puławski aparat nie byłby w końcu użyty przeciwko niemu, parł w tym samym kierunku. Ale szeregowi Ubecy nie chcieli się poddać bez walki. Zagrożeni redukcjami, ogłosili strajk. Imprezę nazwali "Bezpieczniackim październikiem". (W rzeczywistości był to listopad). Zaczęli grawitować ku Natolińczykom; w każdym razie nastrojem dominującym była wściekłość na Puławskich mocodawców, że zamiast wdzięczności za wierną służbę wyrzucają ich na bruk, przy okazji oskarżając o różne brzydkie rzeczy. Ubecy zawiązali komitet strajkowy, na czele którego stanął niejaki kapitan Makolągwa i zaczęli rozpowszechniać dokumentację, dowodzącą, że wszystko, co kiedykolwiek robili, było wiernym wykonywaniem przychodzących z góry rozkazów, wydawanych w niemałej części przez takich liberałów, jak Zambrowski, Ochab itp. Najkapitałniejszą rzeczą, jaką zrobili było sproszenie dziennikarzy na konferencję prasową i udostępnienie im archiwów. Po kilku dniach pozwolili się jednak spacyfikować przez K.C. w sposób idiotyczny. Wszystko to razem było oczywiście wydarzeniem bardzo fortunnym. Dzięki temu K.C. musiało przyspieszyć redukcje i zwiększyć ilość zredukowanych. Co najważniejsze jednak, strajk ten wprowadził do tej całej szacownej instytucji taki chaos, że jej odbudowanie, reorganizacja i postawienie na nogi trwało potem lata. I znowu opinia publiczna nie odegrała tu żadnej roli i nawet nie orientowała się, co się w tym czasie naprawdę działo za murami Bezpieki.

A działy się jednak rzeczy, których nie można sobie wytłumaczyć inaczej, niż strachem Gomułki i przywódców partyjnych przed opinią. Do takich należała mająca wyjątkowo ciekawy przebieg sprawa roszczeń robotniczych. Gomułka świetnie zdawał sobie sprawę z nacisku inflacyjnego, jaki Polska wtedy przeżywała i nawet jeżeli początkowo nie przewidywał, że suma tych roszczeń sięgnie kilku miliardów złotych, to i tak musiał z ciężkim sercem godzić się na niebezpieczny wzrost siły nabywczej, który w wyniku

uwzględnienia tych roszczeń musiałby automatycznie dać się odczuć. Tym niemniej zdecydował się na to. Tym bardziej brutalny przebieg miało odtrąbienie całej sprawy, kiedy Gomułka doszedł do wniosku, że robotnicy przestali już być tak groźni i że może się ich tak bardzo nie obawiać. Wstrzymanie płatności z tytułu tych roszczeń było w tym momencie zapewne rzeczywiście koniecznością ekonomiczną. Ale można było na przykład wypuścić obligacje z jakimiś mniej lub bardziej odległymi terminami płatności, a w każdym razie należało zapłacić tym (nie było ich tak wielu), którzy już mieli w ręku wyroki sądowe, tzn. tym, którzy ponieśli koszty sądowe, opłacili adwokata itp. Nierealistyczna ustawa, uchwalona pod wpływem strachu, w chwili gdy strach minął została przekreślona w sposób maksymalnie brutalny i możliwie prowokujący.

Ale już było po wyborach. W tym nowym okresie nie był to bynajmniej akt odosobniony. Gomułka i Puławianie dochodzą w tym okresie wyraźnie do wniosku, że z opinią publiczną nie ma się co więcej liczyć. Wyjątkowo prowokujący charakter miało np. ogłoszone w lipcu 1957 r. sprawozdanie komisji Romana Nowaka, której zadaniem było zbadanie działalności b. Ministerstwa Bezpieczeństwa. Sprawozdanie to było czystą kpiną. Równocześnie, może bardziej po cichu, ale na szeroką skalę łamano dane w październiku obietnice w sprawie rad robotniczych, w sprawie likwidacji aparatu partyjnego, nie mówiąc już o bałamutnej obietnicy "jawności życia publicznego". Nade wszystko zaś rozpoczęto kampanię przeciwko rewizjonizmowi.

O rewizjonizmie i walce z nim napisano już wiele. Dlatego pragnę tu poprzestać tylko na zwróceniu uwagi na parę elementów tej sprawy. Kampania przeciwko rewizjonizmowi była akcją zgraną w skali międzynarodowej. To wystarczy, żeby wnioskować, że była postanowiona w Moskwie. W chwili, kiedy akcja ta się zaczęła, tzn. w lutym 1957 r., Węgry były już skneblowane, a jeszcze nie było sporu chińsko-jugosłowiańskiego. To, co się w danym momencie liczyło, to ferment w kompartiach Francji, Włoch i innych krajów zachodnich oraz to, co się działo w Polsce. Strach przed polskim demokratycznym ruchem masowym i jego wpływem na partię komunistyczną odczuwano więc wtedy nie tylko na Nowym świecie, ale także na Kremlu. Oczywiście konflikt chińsko-jugosłowiański zmienia charakter tej kampanii i stwarza dla niej nowe problemy, ale zasadnicze powody, dla których całą akcję wszczęto znajdowały się przede wszystkim w Warszawie.

Druga sprawa. Walka z rewizjonizmem na terenie Polski była pomyślana głównie jako rozprawa z elementami wewnątrzpartyjnymi, które wyłamały się z ram ortodoksji. Elementy pozapartyjne, czynne w ruchu październikowym chrzczono raczej mianem "zwolenników drugiego etapu". (Ten drugi etap to miała niby być rezygnacja z socjalizmu i powrót do kapitalizmu). Opór tych środowisk wewnątrzpartyjnych jest zadziwiająco słaby. Zjawiskiem notorycznym jest żebranina o pozostawienie w partii, "ketmańskie" kombinacje taktyczne, uwaga skoncentrowana na personaliach, na problematyce typu "Iksiński czy Igrekowski i co z tego wyniknie". Katalizatorem, przyczyniającym się do ujawnienia tych kapitulaniczych nastrojów stały się inicjatywy "Kultury" w sprawie rewizjonistów. "Kultura", a w szczególności Mieroszewski całkiem trafnie dostrzegli w tych młodych ludziach, bądź co bądź rozumujących kategoriami par excellence europejskimi, naturalnych kandydatów na utworzenie jakiegoś pomostu pomiędzy Wschodem a Zachodem i jakąś szansę przynajmniej kulturalnego, jeśli nie

politycznego przeobrażenia komunizmu w przyszłości. Otóż Mieroszewskiego ludzie ci powszechnie oskarżali o to, że swoimi artykułami dostarcza on władzom pretekstu do stosowania przeciwko nim represji; a w ogóle ich największym marzeniem było, żeby prasa światowa nabrała wody w usta i w ogóle o nich nie wspominała. Był to zupełny idiotyzm. W rzeczywistości świadomość, że rewizjoniści polscy cieszą się na świecie ogromną popularnością i że nie są bynajmniej tak osamotnieni, jak np. ofiary procesów moskiewskich z 1936 i 1937 r. mogła co najwyżej skłaniać polskie władze partyjne do pewnej oględności w postępowaniu z nimi. Natomiast błędem Mieroszewskiego było to, że nie wziął pod uwagę momentów psychologicznych. Ci ludzie byli członkami partii, a więc mieli za sobą lata treningu strachu. Jak długo nie zmuszano ich do wypowiadania się zbyt jasno, tak długo kluczyli. Ale kiedy Mieroszewski radykalizmem swoich sformułowań doprowadził ich do konieczności samookreślenia się, do konieczności zdecydowania się na jakąś orientację, na jakiś określony sposób pojmowania swej roli w partii, większość z nich, pod wpływem strachu skłaniała się do decyzji zgodnych z oczekiwaniami góry partyjnej. Myśl tę po latach wyraził, jak zwykle w formie bałamutnej, Adam Schaff w niedawnym artykule pt. "Humanizm czy rewizjonizm" ("Przegląd Kulturalny", 20.IX.1962). Schaff napisał, że Mieroszewski, pokazując rewizjonistom, jak ich poglądy mogą być interpretowane, pomógł im zrozumieć ich "błędy" lepiej niż była to w stanie uczynić partyjna propaganda. Naprawdę nie o żadne błędy chodziło, tylko o własną skórę, niezależnie od tego, że bardzo wzniosłe motywy mogły być i nieraz były ex post do kapitulanczkich decyzji dorabiane. Ale jest faktem, że na skutek artykułów Mieroszewskiego skłonności rewizjonistów do kapitulowania wzrosły.

Sprawa trzecia i ostatnia. W piśmiennictwie rewizjonistów były rzeczy o nieprzemijającej wartości intelektualnej: wystarczy wymienić całą twórczość Kołakowskiego. Ale pod względem koncepcji ustrojowych rewizjoniści nie posunęli się na ogół poza to, co uroczyście obiecywali z trybun październikowi wodzowie i co wypisywali Puławscy agenci już na wiosnę 1956 r. (Pod tym względem bardziej konstruktywni byli pozapartyjni działacze ruchu październikowego). Puławianie byli oczywiście tymi, którzy najgłośniej rewizjonistów zwalczały. Tragiczny był w gruncie rzeczy los tych młodych ludzi, którzy kiedyś Puławianom zawierzyli, którzy byli na tyle uczciwi, żeby traktować swoją walkę przeciwko totalizmowi na serio i których "na nowym etapie" wyrzucano na śmietnik. Puławianie niechętnie się w końcu przyznawali nawet do własnych agentów zbyt mocno w poprzednim okresie zaangażowanych w "liberalizm". Panie, o których mówiłem, na ogół nie zrobiły karier.

XI

Najdramatyczniejszym momentem walki Puławian z byłymi sojusznikami była likwidacja "Po Prostu" i czterodniowe rozruchy w Warszawie w r. 1957. O "Po Prostu" i jego likwidacji pisano już dużo i w tej sprawie nie mam nic szczególnego do powiedzenia. Natomiast parę słów chciałbym poświęcić rozruchom.

Rozruchy były spontaniczną odpowiedzią ludności Warszawy na likwidację cieszącego się ogromną popularnością tygodnika. Zaczęły się od demonstracji studenckiej na Pl. Narutowicza. W demonstracji odbywającej się w dniu następnym przed Politechniką

uczestniczą już nie tylko studenci, ale wciąż jeszcze chodzi o protest przeciwko zamknięciu "Po Prostu". Trzeciego dnia sytuacja się zmienia. Demonstracja na Pl. Konstytucji jest już raczej reakcją na gwałty policji, dokonywane w czasie dwóch pierwszych demonstracji. W tej demonstracji wyraźnie dominuje element proletariacki. Ostatnia demonstracja przed Pałacem Kultury ma ten sam charakter, co demonstracja dnia poprzedniego.

Do rozruchów tych nie przywiązywano na ogół większego znaczenia. Co więcej, poczynając od trzeciego dnia stały się one niepopularne. Udział inteligencji w dwóch ostatnich demonstracjach był już znikomy i nawet ci, którzy w poprzednich brali czynny udział, od trzeciego dnia usuwali się i dalsze demonstracje dezawuowali. Nie zapomnę rozmowy z człowiekiem, który w momencie wybuchu rozruchów odegrał istotną rolę, a który mi oświadczył, że demonstracja na Pl. Konstytucji była "raidem chuliganów z Targówka, Młocin i Powiśla". Miał zapewne na myśli, że rewolucja jest tak długo dobra, jak długo na jej czele kroczą intelektualiści. Później ten człowiek zwalczał mnie za "reakcyjność".

Opinia o chuligańskim charakterze trzeciej i czwartej demonstracji nie była niestety bynajmniej odosobniona. W związku z tym pragnę zwrócić uwagę na pewien fakt. Adam Uziembło pisząc w "Kulturze" o wypadkach Poznańskich 1956 r. porównywał podjętą wówczas przez prasę komunistyczną próbę dyskredytacji rewolty przez przytaczanie pojedynczych wypadków rabowania sklepów z analogicznymi próbami dyskredytacji zająć 1905 r. ze strony prasy endeckiej. Czytelnik może nie wiedzieć, że na Pl. Konstytucji znajdują się najbardziej luksusowe sklepy w Warszawie, między innymi dwa wielkie sklepy jubilerskie. Otóż w czasie całej demonstracji nie została stłuczona ani jedna szyba. Nie znalazł się ani jeden amator złota czy brylantów, który by dostarczył reakcyjnej prasie powodów do moralnego zgorzienia. Kamienie leciały tylko w policjantów.

Chcę tu wyrazić przekonanie, że warszawska ulica dokonała w tych dniach czynu politycznego ogromnej miary. Warszawski proletariatus pokazał władzy, że polityka prohibicji, represji i gwałtów może prowadzić do konsekwencji nieobliczalnych. Pokazał, że stoi na straży wartości kulturalnych narodu i nie będzie się przyglądał indyferentnie ich niszczeniu. Wspomnienie rozruchów długo jeszcze musiało nękać dysponentów władzy przy podejmowaniu decyzji i skłaniać do rozwagi i namysłu.

Staralem się wyżej scharakteryzować czynniki, które sprawiły, że pomimo ogólnego trendu brania za mordę, pewne elementy liberalizmu w Polsce ostawały się, represje stosowano raczej powoli i oględnie, dokonywano pewnych reform itp. Wśród tych czynników rozruchy październikowe 1957 r. postawiłbym na pierwszym miejscu.

XII

Przesławne październikowe lanie pociągnęło za sobą dość gruntowne przeobrażenia w łonie grupy Natolińskiej. Część przywódców, jak Franciszek Józwiak czy Hilary Chełchowski w skrajnym rozgoryczeniu usuwa się z życia publicznego w ogóle. Część pozostaje nieprzejednana i występuje z otwartymi atakami na Gomułkę i Puławian,

oskarżając ich, jeżeli nie wprost o zdradę, to w każdym razie o kapitulowanie przed wrogiem klasowym i wypaczenie marksizmu-leninizmu. Są to w pierwszym rządzie Wiktor Kłosiewicz, Stefan Matuszewski i Kazimierz Mijał. Natomiast grupa bardziej umiarkowana próbuje się od razu "włączyć do nowej rzeczywistości". Są to przede wszystkim Aleksander Zawadzki, Zenon Nowak, Władysław Kruczek oraz Bolesław Rumiński.

Oskarżeń o zdradę i kapitulantstwo ani Gomułka ani Puławianie, rzecz prosta, tolerować nie chcą i skrajna grupa zostaje z trzaskiem z K.C. wywalona. Charakterystyczna jest, dobrze mi znana, historia Stefana Matuszewskiego. Ten był ksiądz, był "socjalista" i był członek Biura Politycznego został wylany z K.C. za to że na zjeździe Towarzystwa Przyjaźni Polsko-Radzieckiej oświadczył: "Syjoniści, masoni i różne niebieskie ptaki nie będą nas uczyć patriotyzmu". Tego było już za wiele i nie tylko wywalono go z K.C., ale także uniemożliwiono mu wszelką działalność polityczną. Wobec tego zaczął się zajmować jedyną rzeczą, do której miał fachowe przygotowanie. Został mianowicie wykładowcą Nauki Ojców Kościoła. (Podobno skończył jakąś wyższą uczelnię teologiczną w Paryżu i podobno zna niezłe hebrajski i aramejski). Przez całe lata miałem wątpliwy zaszczyt kolegowania z nim na Wydziale Filozoficznym U.W. Los innych skrajnych Natolińczyków był zapewne podobny.

IX Plenum K.C. w kwietniu 1957 r., na którym wywalono skrajnych Natolińczyków, jest ostatnim, które zostało przez Puławian rozplotkowane. Od tej pory aż do Plenum, które zebrało się w końcu 1961 r. i które obradowało nad XXII Zjazdem K.P.Z.R., Puławianie trzymają język za zębami. Uniemożliwia to dokładne śledzenie walk frakcyjnych w tym okresie. Pewne elementy stają się jednak widoczne.

Gomułka, prawdopodobnie ulegając presji zawsze niechętnych Puławianom dołów aparatu partyjnego, decyduje się w końcu wzmocnić poparcie udzielane umiarkowanym Natolińczykom, wciąż jednak nie wchodząc jeszcze w otwarty konflikt z Puławianami. Dodatkowym bodźcem mogła tu być ucieczka powiązanego z Puławianami Pawła Monata na Zachód we wrześniu 1959 r. W związku z tą sprawą zostaje wydobyty z zapomnienia i wyniesiony na wysokie stanowisko kierownika Wydziału Administracyjnego K.C. osławiony "General Gazrurka" Kazimierz Witaszewski. Mniej więcej w tym samym czasie dwaj inni Natolińczycy zostają powołani na jeszcze wyższe stanowiska: Ryszard Strzelecki na stanowisko sekretarza K.C. i Julian Tokarski na stanowisko wicepremiera. Ludzie ci zaczynają działać energicznie i inteligentnie i w efekcie Puławianie tracą jedną pozycję po drugiej. Po nominacji Witaszewskiego centralnym ośrodkiem działania Natolina staje się Wydział Administracyjny K.C. Jego akcja zmierza w pierwszym rządzie do podporządkowania sobie kolejno wszystkich zależnych od tego wydziału ogniw aparatu represyjnego. Po kolei zostają wydarte Puławianom: prokuratura, sądownictwo, Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Pomagają im w tym, jak mogą starzy "gomułkowcy": mający szczególnie wiele porachunków z Puławianami szef wywiadu, Grzegorz Korczyński, oraz szef Biura śledczego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Mieczysław Moczar. Jest to niewątpliwie spełnianie dyrektyw wodza. W chwili, kiedy w sierpniu 1962 wyjeżdżałem z Polski, pozostało jeszcze nieopanowane ostatnie ogniwo tego łańcucha: Ministerstwo Sprawiedliwości. Ale i tu przygotowania zostały wyraźnie poczynione.

Przez długi czas Puławianie wciąż jeszcze czują się zbyt mocni, żeby bić na alarm. Rozgrywki wolą toczyć "u siebie w domu" i nie zaczynać ryzykownej bądź co bądź imprezy wynoszenia brudów na ulice, tak, jak to zrobili w r. 1956. Nie wykorzystują wspaniałej okazji, jaką im daje XXII Zjazd K.P.Z.R.

XIII

Parę słów o tym Zjeździe. Zupełnie nie ma racji Konstanty Jeleński w ogłoszonym niedawno w "Kulturze" artykule pt. "Bezdroża komunizmu", pisząc, że XXII Zjazd był przez Gomułkę i polskie kierownictwo partyjne przyjęty z aprobatą. W rzeczywistości było wręcz na odwrót. Gomułka nie miał żadnego powodu do rozpoczynania w tym momencie liberalnej rozróbki. Jakiegokolwiek rewoltowanie opinii publicznej przez ponowne wyciąganie na jaw kompromitującej przeszłości było mu w tym momencie, w którym zamierzał przeprowadzić szereg drakońskich ustaw i zarządzeń, jak najbardziej nie na rękę. Pierwszą reakcją liderów partyjnych na XXII Zjazd jest reakcja obronna: "Myśmy w Polsce już dawno przeprowadzili walkę z kultem jednostki, pokonali dogmatyków, naprawili błędy i wypaczenia. To, co w Z.S.R.R. jest jeszcze wciąż problemem aktualnym, u nas należy już do przeszłości i w ogóle nie ma o czym mówić". Oświadczenia tego rodzaju były składane przez różne osobistości w sposób dość oficjalny. Są one wyraźną wskazówką, że kierownictwo partyjne publicznego prania brudów w tym momencie obawiało się i czyniło wszystko, żeby do niego nie dopuścić.

To stanowisko polskiego K.C., które znalazło swój aluzyjny wyraz w referacie sprawozdawczym Gomułki z XXII Zjazdu, wywołało gwałtowny sprzeciw Chruszczowa. Konflikt jest ostry i ma charakter prestiżowy: Chruszczow wyraźnie nie może ścierpieć tego, że Polska go w czymś "wyprzedziła". Ma nadto jeszcze dwa inne zarzuty wobec tego referatu. Pierwszy zarzut ma charakter doktrynalny. Gomułka w swoim referacie twierdził, że okres "błędów i wypaczeń" zaczął się ok. r. 1930, co było przejrystą aluzją, że forsowna kolektywizacja była także "błędem i wypaczeniem". Chruszczow zaś nie chcąc podważać moralnych i ideologicznych fundamentów systemu kolchozowego, upierał się, że błędy i wypaczenia zaczęły się dopiero ok. r. 1933. Drugi zarzut dotyczył sprawy bardziej na czasie. Gomułka mianowicie ni stąd ni zowąd oświadczył, że Mołotow, Kaganowicz et consortes nie zostaną pociągnięci do odpowiedzialności karnej, krępując tym oświadczeniem Chruszczowa, który pragnął zapewne trzymać bat odpowiedzialności karnej w pogotowiu.

Gomułka presji bynajmniej nie poddaje się i idzie z Chruszczowem na udry. Zostaje dokonany krok wyjątkowo prowokacyjny. Dokładnie w tym samym momencie, kiedy Czechosłowacja i Rumunia zrywają z Albanią stosunki dyplomatyczne, Polska zawiera z Albanią układ handlowy i wiadomość o tym zostaje ogłoszona w prasie. Następuje, przejściowo niewątpliwie, moment zbliżenia Polski do Chin i Albanii. Sens tego manewru nie jest dla mnie całkiem jasny: być może chodziło o jakieś przetargi, związane ze sprawami niemieckimi. Ale Gomułce manewr ten nie tylko pozwala na dalsze ignorowanie XXII Zjazdu, ale także umożliwia przeprowadzenie kilku reform par excellence faszystowskich pomimo wiejących ze wschodu wiatrów liberalnych. Na sesje sejmowe zostaje rzucony projekt ustawy o Sądzie Najwyższym, likwidujący ostatnie

resztki niezawisłości jego sędziów, projekt ustawy o zgromadzeniach, zobowiązujący między innymi organizatorów każdego otwartego zebrania do zawiadamiania o nim odpowiednich władz administracyjnych, które wysyłają swojego funkcjonariusza, mającego prawo w każdej chwili zebranie zamknąć, wreszcie projekt ustawy o meldunkach, przewidujący karę do dwóch lat więzienia za niedopełnienie obowiązków meldunkowych. Gomułka wydaje się w tym czasie świadomie zmierzać do tego, żeby pozbawić Polskę wszystkiego, co ją korzystnie wyróżniało spośród innych "bratnich krajów" i co zjednywało jej pewną sympatię Zachodu. Postępuje tak, jakby chciał stanąć w jednym rzędzie z tymi wasalami, którzy, jak Ulbricht, Novotny czy Gheorghiu-Dej opóźniali zainicjowane przez Chruszczowa procesy unowocześnienia i ucywilizowania systemu. Być może czynił to dla tego, że nawet ograniczona sympatia Zachodu kompromitowała go wobec Pekinu. Być może, jak prawdopodobnie cały ten sojusz, była to taktyka chwilowa. Ale od XXII Zjazdu inicjatywa w modernizacji i europeizacji komunizmu należy już do Z.S.S.R. a nie do Polski. Mimo, że stosunki w Polsce są jeszcze wciąż liberalniejsze, niż w Rosji, Rosja kroczy, przynajmniej chwilowo, w kierunku rozszerzenia zakresu swobód, a Polska w kierunku ich dalszego ograniczenia. I to decyduje.

Nie mogę wprost pojąć, jak Puławianie mogli w tej całej polityce Gomułce sekundować. Tego katastrofalnego błędu będą wkrótce gorzko żałować. Wydaje się, że bardziej przewidujący z nich mieli wątpliwości. Plotki, dochodzące z Plenum, na którym Gomułka składał sprawozdanie z XXII Zjazdu pozwalają mniemać, że Władysław Matwin był tym, który już w tym momencie chciał wychodzić z praniem brudów na ulicę. Mimo to znam tylko jeden wypadek oporu Puławian przeciwko Gomułce w tym okresie. Ich przedstawiciele w komisji sejmowej atakowali ustawę o Sądzie Najwyższym; oczywiście znowu nie z sympatii liberalnych, lecz dlatego, że ustawa praktycznie oznaczała opanowanie tej instytucji przez Wydział Administracyjny. Natomiast właśnie Puławscy promineneci gorliwie składali oświadczenia, że XXII Zjazd ich nie dotyczy.

XIV

Sytuacja zmienia się raptownie dnia 28 grudnia 1961 r. o godz. 12 w południe. Od tego momentu rozpoczyna się otwarty konflikt Gomułki z Puławianami.

Byłem naocznym świadkiem sceny, jaka rozegrała się tego dnia na Cmentarzu Komunalnym na Powązkach. Kilkaset osób elity partyjnej wraz z sześcioma członkami Komitetu Centralnego składało ostatni hołd człowiekowi, którego obciążano oskarżeniami o szpiegostwo na rzecz obcego mocarstwa i który w trakcie postępowania karnego, w obecności przedstawicieli władz śledczych, bądź został zamordowany, bądź popełnił demonstracyjne samobójstwo.

Szczegóły sprawy Henryka Hollanda nie zostaną już zapewne wyjaśnione nigdy. Jest faktem, że Holland powtarzał korespondentowi "Monde'u", Jean Wetzowi, plotki o wynurzeniach pijanego Chruszczowa na temat śmierci Stalina i Berii i że został przez kogoś z otoczenia Wetzza zadencjonowany. Ale plotki te krążyły po całej Warszawie i były w gruncie rzeczy zupełnie bezwartościowe. Być może, że Gomułka, dla którego sama treść plotek musiała być rzeczą najzupełniej obojętną i który by zapewne nie miał nic

przeciwko temu, żeby te same wiadomości przeciekały na Zachód via Helsinki czy Belgrad, chciał w ten sposób położyć kres praktyce przeciekania takich wiadomości via Warszawa. Być może zagrał tu moment osobisty: Holland był tym, który ze szczególną furią atakował Gomułkę w prasie w okresie "odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego" i skądinąd wiadomo, że Gomułka go nie znosił. Ale to nie wyjaśnia wszystkiego. Przede wszystkim skąd ten wściekły upór, żeby go, powodu dość błahej sprawy, od razu przyskrzynieć i zmaltretować? Normalnie taka sprawa podpada pod art. 22 tzw. Małego Kodeksu Karnego (Szeptana propaganda) i śledztwo przeprowadza prokuratura powszechna. W tym wypadku nakaz aresztowania był wydany przez prokuratora wojskowego, podobno po odmowie wydania takiego nakazu przez prokuraturę powszechną. Ale prokuratura wojskowa ma prawo prowadzić śledztwo przeciwko osobom cywilnym tylko wtedy, kiedy są one podejrzane o szpiegostwo. Konsekwentnie trzeba było rozplotkować, że Holland był na służbie wywiadu angielskiego już w roku 1944, co jest jawnym nonsensem i w co nikt nie wierzył. A na dobitkę wszystkiego poddano go czterdziestogodzinnemu konwojerowi, czego się nie praktykowało od r. 1954.

Wcale nie wykluczam ewentualności morderstwa. Cała rzecz miała wyraźnie cechy dintojry i trudno wykluczyć, że mord był jej aktem ostatnim. Osobiście skłaniam się jednak raczej do hipotezy samobójstwa. Sytuacja życiowa Hollanda, zarówno osobista jak i zawodowa była pod każdym względem fatalna. Jest prawdopodobnie, że o samobójstwie myślał już wcześniej. Ale wybór sposobu, miejsca i czasu zdaje się świadczyć o tym, że Holland chciał nadać temu aktowi charakter protestu.

Sens tego protestu wydaje się jasny. Stary i doświadczony agent Puławski, cyniczny i koniunkturalny do ostatnich granic, ale lubujący się w gestach i osobiście odważny, przekonał się na własnej skórze, że wbrew wszystkim wysiłkom jednak policja jest nad partią a nie partia nad policją, że jego przyjaciele w K.C. nie potrafią go ochronić przed mającym wszelkie cechy zemsty osobistej bezprawiem. Na przykładzie swojej sprawy zobaczył, że Puławska większość w K.C. nie panuje już nad tym, co robią zupełnie mali funkcjonariusze policyjni. Poza poczuciem klęski osobistej i zawodowej musiał mieć w tym momencie poczucie strasznej klęski politycznej. Widział daremność walki o podporządkowanie policji K.C. w którą sam się w swoim czasie zaangażował i widział niemoc grupy, z którą się od lat związał. Zapewne go upokarzano. Zapewne jego duma członka partii o bardzo długim stażu, cierpiała z powodu tego, że upokarzali go ludzie, których staż partyjny był znacznie krótszy. Cóż dziwnego, że szukał za to wszystko jakiejś rekompensaty. Musiał sobie zdawać sprawę z tego, że ten skok z piątego piętra będzie jednak wstrząsem potężnym. Mógł liczyć na to, że zmobilizuje jego przyjaciół do walki, w której on sam już nie odegra żadnej roli, ale za to tym większą rolę odegra jego imię. I jeżeli tak myślał, to się nie omylił.

Sens demonstracji na pogrzebie wydaje się także jasny. Puławianie podjęli walną rozgrywkę o kierowane przez Mieczysława Moczara Biuro śledcze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Sześciu członków K.C. zostało wysłanych na pogrzeb po to, aby inni mogli powiedzieć: "Patrzcie, do czegoście doprowadzili. Zamordowaliście człowieka, starego, zasłużonego towarzysza. Trudno się dziwić towarzyszom z K.C., że poszli na pogrzeb przyjaciela i trudno się dziwić, że ludzie śpiewali Międzynarodówkę na

pogrzebie". Tego rodzaju deklamacje są w życiu partyjnym obyczajem ogólnie przyjętym i zdaje się, że przez pewien czas ta argumentacja chwytala. Kompromitacja była bądź co bądź nielicha i Puławianie szykowali się do odwetu, a ich przeciwnicy byli w popłochu. W końcu jednak Gomułka powiedział mocnym głosem "nie". Członków partii obecnych na pogrzebie zaczęto po kolei wzywać przed Komisję Kontroli. Sześciu członków K.C. (Morawski, Zarzycki, Jaworska, Granasowa, Lange i Finkelstein) egzaminował sam wódz. Sam przebieg tych przesłuchań nie był istotny: jakieś szykany, groźby, dziecinne wyklócanie się. Istotne jest to, że w toku tej kontrofensywy przeciwko Puławianom zadano im cios śmiertelny. Ze stanowiska wiceministra Spraw Wewnętrznych został usunięty Antoni Alster. Ten człowiek, o bardzo kompromitującej przeszłości (w czasach stalinowskich był wojewódzkim komendantem U.B. w Bydgoszczy), bardzo cyniczny ale niepospolicie inteligentny, został zastąpiony przez niejakiego Szlachcica - Natolińczyka, brutalnego żołdaka, który świeżo maczał palce w wyjątkowo ponurej sprawie adwokata Hoffa z Katowic, zmarłego w lutym br. w okolicznościach podobnych do tych, jakie miały miejsce w przypadku Hollanda. Szlachcic oczywiście z miejsca przeprowadza czystkę, w wyniku której Puławianie tracą wszelki wpływ na to, co się dzieje w policji. Odtąd sama fizyczna egzystencja Puławian staje się rzeczą nad wyraz niepewną.

XV

Przesłuchania przed Komisjami Kontroli oraz usunięcie Alstera stają się dla Puławian wreszcie sygnałem do jakże spóźnionego wyjścia z praniem brudów na ulicę. Akcja jest przy tym wyraźnie mniej zgrana, niż w r. 1956. Wydaje się, że w łonie grupy są poważne różnice zdań, czy akcję tę prowadzić i jak ją prowadzić.

Jakie są jej objawy?

1. Systematyczne łamanie zasady tajemnicy partyjnej. To, co się dzieje na Plenach i w zaciszu gabinetów K.C. znowu przecieka, i to w wielkich ilościach, do wiadomości publicznej.
2. Fakt, że plotki te koncentrują się na sprawach personalnych K.C. Wersja najczęściej spotykana, to wersja na temat grupy "partyzantów" (Zenon Kliszko, Grzegorz Korczyński, Mieczysław Moczar), których się oskarża o dążenia do zaprowadzenia rządów silnej ręki, antysemityzm i jednocześnie stwierdza się ich nastawienia antysowieckie. Prawdopodobnie jest to pośrednia forma ataku na Gomułkę. Nie chcąc atakować go wprost, atakuje się najbliższych mu ludzi. Podkreślana w tym kontekście antysowieckość służy prawdopodobnie do zasugerowania, że antysowieckość Gomułki to nie wiele i nie wszystko, że można być przeciwnikiem Sowietów i zarazem zwolennikiem reżymu jak najbardziej policyjnego.
3. Oskarżenia o antysemityzm. Oskarżenia te wybuchają ze szczególną siłą po odejściu Alstera i czystce w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych. Mówi się, że czystka została przeprowadzona według kryterium rasowego. Tym niemniej jednak żydzi ze zrozumiałych powodów unikali Natolińczyków i grupowali się wokół Puławian, a czystka była robiona przez Natolińczyków i skierowana przeciwko Puławianom. (Inna sprawa, że bezpośrednio przed wyjazdem z Polski powiedziano mi o pewnym panu: "To jedyny żyd,

który się ostał w M.S.W.". Przypuszczam, że takich "jedynych" żydów znalazłoby się tam więcej).

O oskarżeniu "partyzantów" o antysemityzm już mówiłem. Wyrazicielem tych oskarżeń stał się m.in. niejednokrotnie, jeszcze w 1956 r., inspirowany przez Puławian korespondent "Monde'u" Philippe Ben, który dn. 19 sierpnia 1962 napisał w tym dzienniku, że argumentacja "partyzantów" przeciwko Zambrowskiemu sprowadza się do tego, że wszyscy żydzi posiadają powiązania międzynarodowe, ze względu na co powierzanie im odpowiedzialnych stanowisk jest rzeczą ryzykowną. Wszystko według zasady, że jedynym możliwym powodem pretensji pod adresem Zambrowskiego czy Alstera jest to, że są oni żydami. Innych powodów być nie może.

4. Inspirowanie artykułów w prasie zachodniej. Typowe pod tym względem są naiwności artykułów Bena. Ciekawszy od nich był ogłoszony niedawno w "Kulturze" anonimowy artykuł pt. "Porażka Gomułki". Wydaje się, że pochodzi on z jakichś radykalnych kół Puławian. Artykuł ten atakuje, i to bardzo ostro, wprost Gomułkę, a nie jego pupilów. (Ben Gomułkę chwali). Marginesowa w tym artykule próba zdezwauowania Putramenta budzi przypuszczenie, że Putrament był przeciwny ponownemu rewoltowaniu opinii publicznej; przypuszczenie to harmonizowałoby z faktem, że w latach 1956 i 1957 Putrament był bardziej od innych Puławian ostrożny i chwiejny. Właśnie ten artykuł stwarza podstawę do przypuszczeń, że w łonie grupy nie ma jedności co do tego, czy i jak prac publicznie brudy.

5. Pewne ożywienie prasy. Publikowanie artykułów krytycznych. Mam tu na myśli przede wszystkim długofalową akcję par excellence Puławskiej "Polityki" drukowania materiałów, dotyczących życia na prowincji. Jest to próba poważniejszego trafienia do masowego czytelnika i nawiązania z nim jakiegoś kontaktu.

Ale jedna rzecz w porównaniu z r. 1956 zmieniła się zasadniczo. Puławianie wysilają się, a naród nie reaguje. Być może zabrakło bodźca równie silnego, jak tajny raport Chruszczowa. Błąd niewykorzystania okazji XXII Zjazdu mści się na Puławianach straszliwie. Ale istotniejsze jest wielkie rozpowszechnienie się postaw apatii, apolityczności, indyferentyzmu i konformizmu. Po to, żeby tym razem poruszyć masy, Puławianie musieliby podjąć kroki o wiele bardziej zdecydowane, niż w r. 1956. A tymczasem to, co zrobili dotąd jest mniej zdecydowane i pełne wahań.

Chcę, żeby moja konkluzja była dzwonem alarmowym. W Polsce frakcje wzięły się znowu za łby. Oznacza to, że powstaje obecnie nowa wyjątkowa koniunktura na demokratyzację, na powtórzenie się w jakiejś formie tego, co się stało w r. 1956. Ale warunkiem niezbędnym do wykorzystania tej koniunktury jest, żeby naród polski nie przyglądał się beczynnie i obojętnie temu, co na szczytach drabiny społecznej wyprawiają jego władcy.

XVI

Klub Krzywego Koła był dla Puławian swoistą klapą bezpieczeństwa. Puławianie, od chwili swoich pierwszych popaździernikowych niepowodzeń, niewątpliwie liczyli się z

tym, że mogą się jeszcze kiedyś znaleźć w sytuacji groźnej. Z pewnością obawiali się w szczególności dwóch rzeczy: wyemancypowania się aparatu policyjnego spod kontroli K.C. i jakiejś wymierzonej przeciwko nim propagandy antysemitkiej.

Puławianie mogli zawsze liczyć na to, że w walce z samowolą policji i z antysemityzmem uzyskają bez trudu poparcie tych kół, jakie skupiały się w Klubie i wokół Klubu. Być może liczyli także na to, że te koła uda im się w typowy dla nich sposób oszukać: np. że pod sztandarem walki z antysemityzmem uda im się zwerbować je także do walki z przeciwnikiem, któremu bynajmniej o sprawy rasowe by nie chodziło. W każdym razie, Puławianie byli politykami, którzy wcześniej i trafnie zrozumieli, że kiedy opinia publiczna nie dysponuje normalnymi środkami wyrażania swoich nastrojów, intelektualści mają szczególne szanse, aby stać się jej leaderami. Niewątpliwie w zrozumieniu tego prawa Puławianie zawsze zabiegali o kontakty - także prywatne - ze środowiskami intelektualistów i nigdy kontaktów tych nie zaniedbywali. Klub, przez swoje powiązania z ogromną ilością osób wpływowych, posiadających głośne nazwiska i cieszących się autorytetem, mógł stać się szczególnie cenną bazą oddziaływania na elitę intelektualną kraju. W sytuacji, w której Puławianie wciąż dysponowałyby prasą i innymi środkami masowej komunikacji, rola Klubu mogłaby być dla nich drugorzędna. Ale po pierwsze, nie mogli mieć pewności, że w momencie zagrożenia będą prasą dysponować, a po drugie, doświadczenie ich uczyło, że zawsze jest coś, czego opublikować nie podobna, a co warto przekazać społeczeństwu drogą ustną. Dość centralne położenie Klubu na mapie kulturalnej Polski dawało gwarancje, że informacje i sugestie będą się stamtąd stosunkowo szybko rozchodzić naprzód po stolicy, a potem po całym kraju.

Wydaje się, że w kalkulacjach Puławian na temat Klubu istotną rolę odgrywało jeszcze jedno oczekiwanie. Puławianie nigdy nie zapomnieli, że Natolińczycy mają poza szeregami partii sojusznika. Kiedy próba wykończenia PAX-u przez secesję grupy Frankowskiego zawiodła, i kiedy Piasecki skutecznie schronił się pod opiekuńcze skrzydła Gomułki, Puławianie musieli zacząć myśleć o jakichś innych środkach walki ze swoim byłym agentem. Co do stanowiska Klubu wobec PAX-u nie było żadnych wątpliwości. Jeszcze w październiku 1956 r. Klub uchwalił rezolucję, domagającą się wykluczenia Bolesława Piaseckiego z Prezydium Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodu. Następnie w r. 1957 zorganizował zebranie, poświęcone rozliczonym publikowanym w tym czasie artykułom Piaseckiego: ton wypowiedzi, jak łatwo się domyślić nie był przychylny dla Piaseckiego. Ale decydującą chyba rzeczą była, napisana w r. 1959, przez jednego z czołowych działaczy Klubu, Jan Józefa Lipskiego, książka na temat ideologii kierowanego przez Piaseckiego przed wojną stronnictwa O.N.R.-Falanga. Lipski podpisał na tę książkę umowę z wydawnictwem "Książka i Wiedza". Niezależnie od tego po jej napisaniu zaproszono go na kilka zebrań dyskusyjnych, na których miał referować różne jej fragmenty. Pierwsze takie zebranie odbyło się w Związku Literatów, gdzie zjawiała się cała masa osób z otoczenia Piaseckiego i gdzie doszło do bardzo burzliwej z nimi dyskusji. Drugie takie zebranie miało się odbyć w Klubie, ale wygłoszenie referatu zostało w ostatniej chwili zakazane przez władze. Co więcej, umowa wydawnicza została z Lipskim zerwana i zarówno on jak i ówczesny przewodniczący Klubu, Aleksander Małachowski, zostali w trybie karnym pozbawieni pracy.

Był to jedyny w dziejach Klubu przypadek, kiedy władze zdecydowały się środkami

administracyjnymi nie dopuścić do wygłoszenia referatu i odbycia się dyskusji. Fakt, że podlegającym takiej szczególnej ochronie tematem była O.N.R.-Falanga ma niewątpliwie swoistą wymowę. O ile można sądzić, zarówno o zakazie odbycia zebrania jak i o represjach wobec Lipskiego i Małachowskiego zdecydowali Puławianie. Piasecki, jak się zdaje, nie uchylał się w tym momencie od otwartej dyskusji; jest w każdym razie faktem, że na zebraniach pojawiała się wielu odpowiedzialnych PAX-owców i że zakazem odbycia zebrania w Klubie wydawali się oni nie mniej zaskoczeni, niż kierownictwo Klubu. Natomiast Puławianom, zaangażowanym po uszy w walkę gabinetową z PAX-em, było w tym czasie zdaje się nie na rękę dostarczanie przeciwnikom argumentów, że znów wychodzą z tą walką na ulicę.

Byłem wtedy wraz z całą grupą kolegów przekonany, że to jest początek końca i że następnym krokiem będzie rozwiązanie Klubu. Ale wkrótce potem rozpoczęły się pertraktacje zarządu Klubu z władzami. W czasie tych pertraktacji ze strony władz stawiano jakieś warunki, dyskutowano jakieś szczegóły i w końcu wszystko rozeszło się po kościach. Lipskiemu i Małachowskiemu nie przeszkadzano w uzyskaniu nowej pracy i działalność Klubu powróciła na normalne tory. Konsekwencją i upór władze wykazały wówczas właściwie tylko w sprawie tego jednego referatu. Klub jako taki zostawiono w końcu w spokoju.

Opowiedziałem specjalnie ze szczegółami o historii referatu Lipskiego, gdyż wydaje mi się ona pouczająca. Puławianie, kiedy nie mieli zamiaru z czymś wychodzić na ulicę, potrafili się stanowczo bronić przeciwko komuś, kto, jak w tym wypadku choćby całkiem mimo woli, ich na tę ulicę wyciągał. Ale jednocześnie jakby wiedzieli, że może przyjść moment, kiedy jednak będzie trzeba odwołać się do społeczeństwa lub przynajmniej do jego elity. I dlatego tych, na których pomoc mogli w takiej sytuacji liczyć, trzymali na wszelki wypadek w rezerwie. W ostatecznym rachunku książka Lipskiego nie zaszkodziła Klubowi. Raczej wprost przeciwnie.

Zarówno w toku wspomnianych pertraktacji, jak i przy innych okazjach można było wprost odnieść wrażenie, że pomimo rozmaitych pretensji jesteśmy w gruncie rzeczy chronieni przez jakieś wpływowe koła partyjne: chronieni przede wszystkim przed możliwymi skutkami denuncjacji delatorów niższych rang. Były na przykład takie sytuacje, że Komitet Dzielnicowy partii sarkał okropnie i słał jeden memoriał za drugim, a z przedstawicielami (zawsze bardzo Puławskiego) Komitetu Warszawskiego było ściskanie rączek. Memoriał Bolesława Piaseckiego do władz śledczych z dnia 12 września 1958 r., oskarżający Klub wraz z szeregiem innych grup, działających w kraju i za granicą (m.in. także "Kulturę") o współnictwo w porwaniu i zamordowaniu Bohdana Piaseckiego i domagający się wszczęcia przeciwko wszystkim wymienionym grupom czynności śledczych, nie miał na postępowanie władz wobec Klubu najmniejszego wpływu. Nawet wtedy, kiedy Klub, jak to pisałem we wstępie, był już zupełnym anachronizmem, kiedy jego istnienie kłuło w oczy, kiedy prostoduszni, nieświadomi krętych dróg, którymi chadza władza, delatorzy szaleli ze zgorszenia, ktoś na wyżynach dbał o to, żeby nic szczególnie złego (pomniejsze szykany owszem!) nam się nie stało.

Oczywiście cały ten układ stosunków był możliwy tylko pod pewnymi warunkami. Gdyby Klub, za sugestiami pewnych kolegów, włączył się w jakąś grę polityczną, gdyby

próbował w dalszym ciągu, tak jak to robił w r. 1956, oddziaływać na załogi fabryczne, w ogóle gdyby okazał się zbyt ekspansywny, byłby prawdopodobnie zlikwidowany bardzo szybko. Czym mogła grozić ekspansja Klubu na środowiska robotnicze, przekonaliśmy się jeszcze w "liberalnym" roku 1957, kiedy aktywistom pozostającego w kontakcie z KKK klubu dyskusyjnego w fabryce radioodbiorników im. Kasprzaka z dnia na dzień wymówiono prace. Tolerowano nas jako rezerwę, która w pewnym momencie ewentualnie może się do czegoś przydać, a nie jako sojusznika, od którego oczekuje się aktywności. Sprawa książki Lipskiego świadczyła o tym, że działanie, które - choćby przez nieporozumienie - zostanie poczytane za próbę włączenia się przez Klub do gry politycznej, spotka się ze stanowczym sprzeciwem; cóż więc dopiero, gdybyśmy się naprawdę do jakiejś gry politycznej próbowali włączyć. Ale jak długo Klub był zorientowany raczej na długofalowe efekty działalności kulturalnej i jak długo formy jego pracy były spokojne, tak długo jego tolerowanie było możliwe.

Kierownictwo Klubu z pewnością nie cieszyło się sympatią Puławian: represje wobec Lipskiego i Małachowskiego były najlepszym tego dowodem. Ale nie wykluczam i tego, że Puławianie z początku chcieli pozostawić Klubowi pewną niezależność. Skoro tolerowali Klub po to, żeby w razie potrzeby wykorzystać autorytet, jakim się cieszył, to być może wychodzili z założenia że nie opłaca im się autorytetu tego podważać przez jakieś działania, zmierzające do jego agenturalizacji. Wydaje się jednak, że później, w miarę jak Klub budził ich coraz większy niepokój, chcieli zmienić taktykę i Klub od siebie uzależnić, przez zapewnienie mu odpowiedniego kierownictwa. W r. 1957 agenci Puławscy do tego, co się w Klubie działo, nie wtrącali się prawie zupełnie. Później jednak zaczęto poddawać Klub coraz ściślejszej obserwacji, aż w r. 1959 po raz pierwszy padło żądanie wprowadzenia członków P.Z.P.R. do jego zarządu. Wtedy jednak wystąpiło zjawisko, o którym pisałem we wstępie: nie było ludzi, którzy by się do tej roboty palili.

Dlaczego wobec tego Klub w końcu zlikwidowano? Czy był to skutek przegranej Puławian w związku ze sprawą Hollanda?

Według wszelkiego prawdopodobieństwa zrobili to sami Puławianie w nowej sytuacji, jaka się wytworzyła we wrześniu 1961 r. Aresztowanie dwóch członków Klubu, Anny Rudzińskiej i Jerzego Kornackiego, zostało wyraźnie wykorzystane przez Biuro Śledcze jako dogodna okazja do wysyłania alarmujących raportów na temat Klubu do władz partyjnych. Jednocześnie represje karne przeciwko członkom Klubu i w ogóle fakt konfliktów Klubu z policją, zjednywały mu sporo sympatii i popularności. Klub zaczął być coraz częściej i coraz szerzej uważany za jakąś grupę opozycyjną. Frekwencja na zebraniach wzrastała. "Wolna Europa" i inne radiostacje zachodnie zaczęły się dość jawnie z Klubem solidaryzować. W tej sytuacji dalsze, choćby ciche chronienie Klubu zaczynało być dla Puławian rzeczą krępującą i ryzykowną.

Mimo to są dane, że Puławianie wciąż jeszcze z Klubu nie rezygnowali. Kiedy wszystkim członkom K.C. doręczono kopie raportu Biura Śledczego wraz z zapytaniem, czy uważają dalsze istnienie Klubu za wskazane, tylko paru poszczególnych Puławian dało odpowiedź pozytywną lub wstrzymało się od wyrażenia opinii. Mimo to z wykonaniem decyzji większości K.C. jeszcze jakiś czas zwlekano, jeszcze jakaś siła nas chroniła. Decydującym momentem był dopiero dzień 1 lutego 1962 r.

Dnia tego odbyło się zebranie Klubu z referatem dyskusyjnym Adama Schaffa pt. "Konflikt humanizmów". Schaff, człowiek niewątpliwie ściśle związany z grupą Puławską, kilkakrotnie zapewniał członków zarządu Klubu o swojej dla Klubu sympatii i oświadczał gotowość współpracy. W okresie poprzedzającym jego ostatni odczyt w Klubie, Biuro Śledcze żywo się nim interesowało i gromadziło przeciwko niemu obciążające materiały. Był on zdaje się jednym z tych niewielu członków K.C., którzy opowiedzieli się za dalszym egzystowaniem Klubu. Zdecydował się przyjąć zaproszenie do wygłoszenia odczytu w Klubie, zdając sobie niewątpliwie sprawę z tego, że przeciwko Klubowi odbywa się policyjna nagonka i że postanowienie likwidacji Klubu już zapadło. Wcale nie wykluczam tego, że Schaff chciał wtedy jeszcze w jakiś sposób Klub ratować. Oczekiwał on od Klubu tylko jednej rzeczy: posłuchu i aprobaty. Ale było to właśnie to, czego Klub mu dać nie mógł, gdyż wszelkie klakierstwo przekreślało w ogóle sens istnienia Klubu. Kiedy Schaff spotkał się ze sprzeciwem, normalnym sprzeciwem, z jakim mógł się spotkać każdy nasz prelegent, wpadł we wściekłość i zaczął personalnie obrażać dyskutantów. Dalsze wypadki to już jest jego intryga. Najprawdopodobniej Schaff skomentował frakcyjnym przyjaciółom swoje prestiżowe niepowodzenie w Klubie w ten sposób, że Klub jest grupą, na sojusz z którą nie można liczyć; że można się obawiać, że w decydującej chwili zaczniemy, na przykład, pomagać Natolińczykom albo zrobimy coś innego, czego nie da się przewidzieć. To jest przypuszczenie. Natomiast jest faktem, że Schaff maczał ręce aż po łokcie w ordynarnej policyjnej prowokacji, wykonywanej rękami zwykłych lumpów i kryminalistów, dostarczając w ten sposób ostatecznego argumentu za rozwiązaniem Klubu, które nastąpiło cztery dni po jego odczycie. W prowokacji tej, której przebieg zreferuję szczegółowo w rozdziale 5, poza Schaffem bierze udział jeszcze jeden członek Puławskiego sztabu (Wincenty Kraśko) oraz kilku menadżerów pomniejszych. Podkreślam, że intryga Schaffa nastąpiła już po postanowieniu zamknięcia Klubu. To, co zrobił Schaff, to była jedynie usługna pomoc w wykonaniu tego postanowienia w sytuacji, w której wykonanie natrafiało na jakieś przeszkody, opory czy choćby tylko ulegało zwłoce.

Moja opinia, że Klub istniał dzięki politycznym kalkulacjom Puławian i przestał istnieć wskutek utraty zaufania Puławian jest oczywiście tylko hipotezą, która będzie musiała w przyszłości być przewietrzana przez nowe fakty, jakie będą niewątpliwie jeszcze wychodzić na jaw. Fakty, które znam, przemawiają jednak, jak mi się wydaje, dość mocno za tą hipotezą i przeciwko hipotezom konkurencyjnym, które omówiłem we wstępie. Dla mnie osobiście przekonanie to jest czymś wyjątkowo niemiłym. Pisanie o tym, jak instytucja, w którą włożyłem tyle serca, była w istocie przedmiotem jakichś manewrów i przetargów ze strony cynicznych stalinowskich łobuzów może mi sprawiać tylko przykrość. Ale z ogólnego punktu widzenia historia ta powinna, moim zdaniem, budzić optymizm. Pokazuje ona bowiem, że konstruktywna i naprawdę niezależna robota kulturalna jest w pewnych wypadkach możliwa nawet w okresach intelektualnego terroru. Muszą się tylko do tego znaleźć ludzie z inicjatywą, skłonni do wynajdywania okazji i wykorzystywania koniunktur. W Klubie Krzywego Koła tacy ludzie się znaleźli.

Witold Jedlicki (ur. 1929 , zm. 1995 w Izraelu) – polski publicysta żydowskiego pochodzenia, działacz społeczny i polityczny.

W PRL był członkiem Klubu Krzywego Koła, w 1960 roku wyjechał do Izraela, studiował w uniwersytecie UC Berkeley, po powrocie do Izraela walczył o prawa Palestyńczyków.

Za: http://zaprasza.net/a.php?article_id=34223